

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres

# Colour Chart #13

DANES-PICTA .COM

Blue

Cyan

Green

Yellow

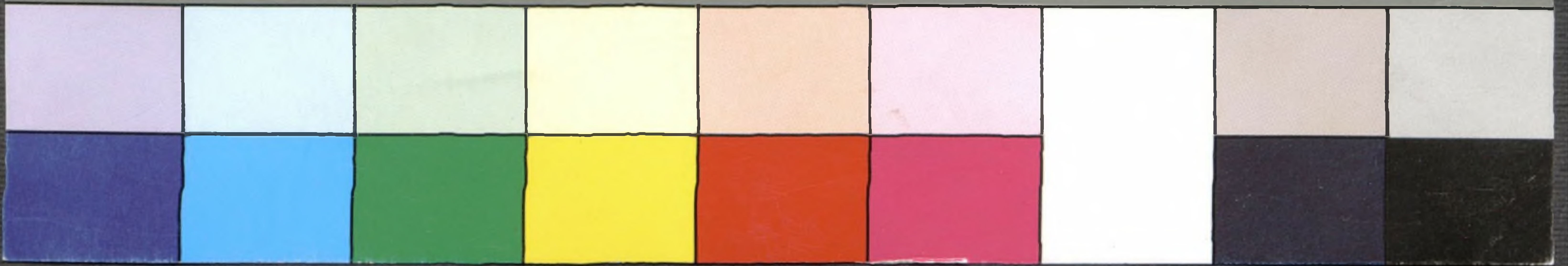
Red

Magenta

White

3/Color

Black



**A**

1

2

3

4

5

6

**M**

8

9

10

11

12

13

14

15

**B**

17

18

19



R



G



B



WH



GR



BL

Grey Scale #13



C



M



Y



K

DANES-PICTA .COM



**MIKOŁAJ MAZANOWSKI**

**SZKICE  
PEDAGOGICZNE**

**SERYA I.**

**ATAWIZM. — PERPETHA. — HANKA. —  
KTO WINIEN. — GWIAZDA. — UŚWIA-  
DOMIENIE. — JUBILACI. — GĘSI. — Z PA-  
MIĘTNIKA ABITURYENTA.**



**W KRAKOWIE 1912  
KSIĘGARNIA S. A. KRZYŻANOWSKIEGO  
WARSZAWA E. WENDE i SKA.**

25

SZKICE  
PEDAGOGICZNE

MIKOŁAJ MAZANOWSKI

SZKICE  
PEDAGOGICZNE

SERYA I.

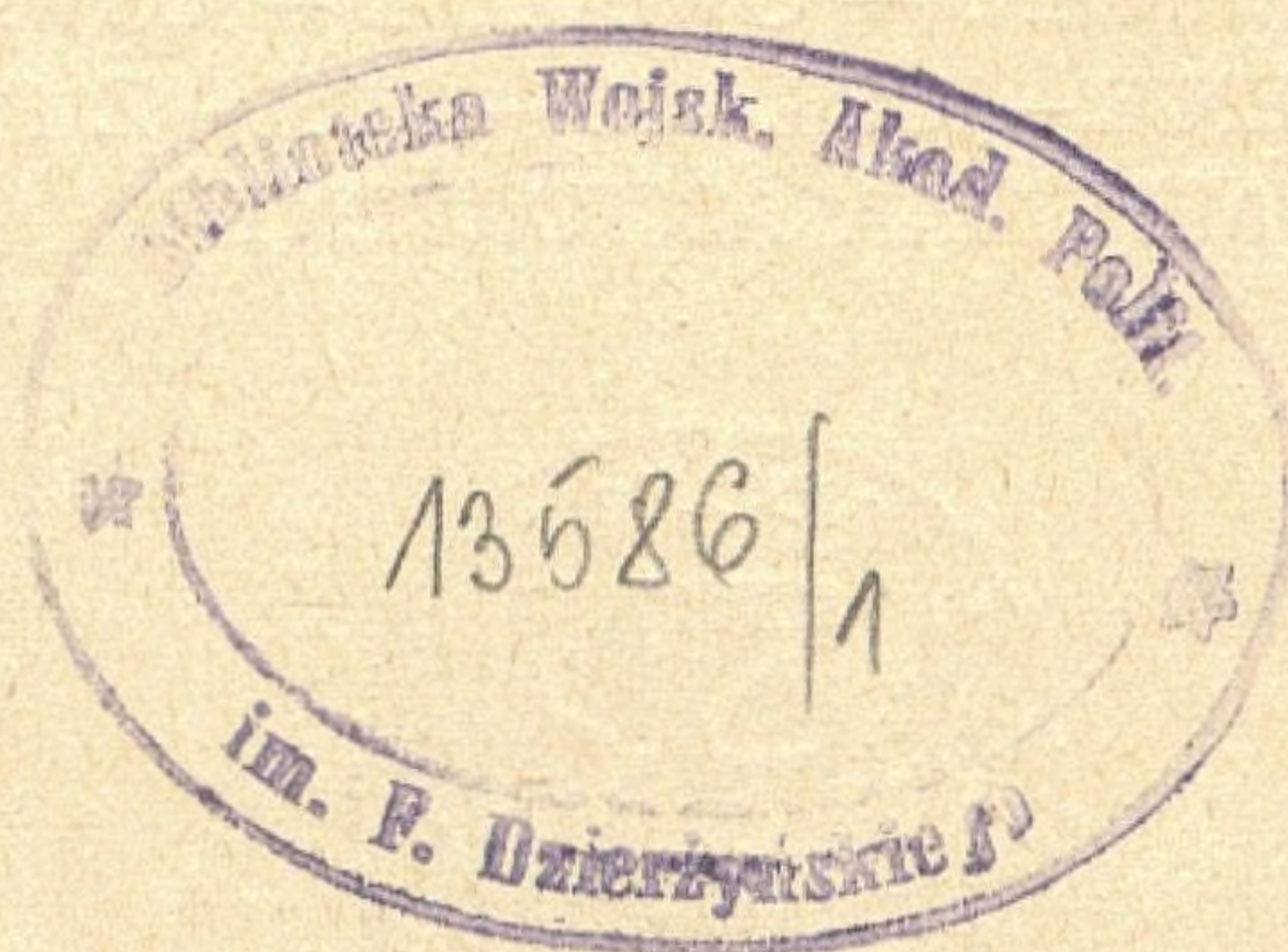
ATAWIZM. — PERPETKA. — HANKA.  
KTO WINIEN. — GWIAZDA. — UŚWIA-  
DOMIENIE. — JUBILACI. — GĘSI. — Z PA-  
MIĘTNIKA ABITURYENTA.



W KRAKOWIE 1912  
KSIĘGARNIA S. A. KRZYŻANOWSKIEGO  
WARSZAWA E. WENDE i SKA.

884-3.

*Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.*

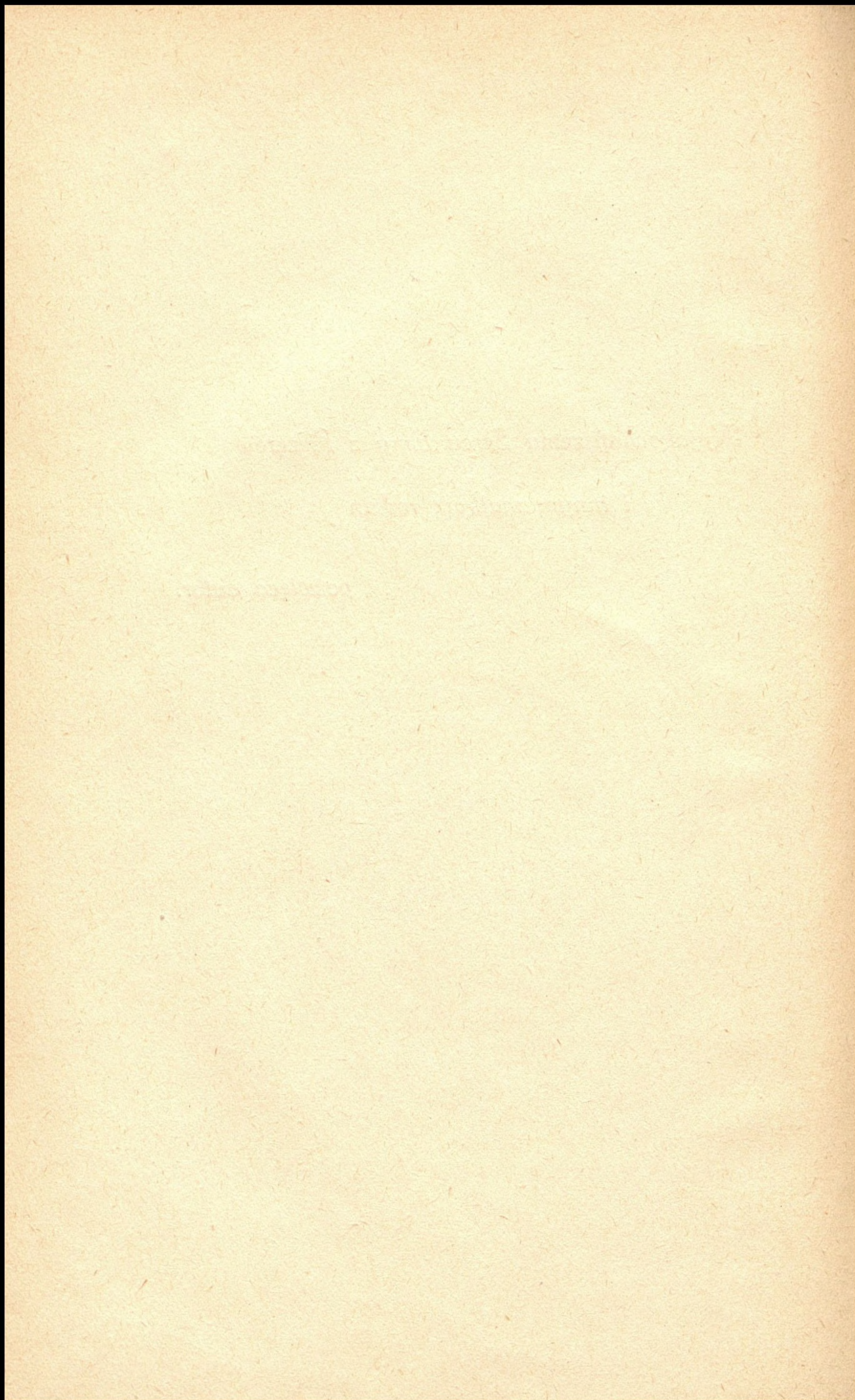


ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

*Najukochańszemu Sercu Emy z Fiszerów*

*i innym matkom rodzin*

*poświęca autor.*



## SPIS RZECZY.

	Str.
I. ATAWIZM . . . . .	1
II. PERPETKA . . . . .	2
III. HANKA . . . . .	45
IV. KTO WINIEN . . . . .	59
V. GWIAZDA . . . . .	83
VI. UŚWIADOMIENIE . . . . .	99
VII. JUBILACI . . . . .	113
VIII. GĘSI . . . . .	123
IX. Z PAMIĘTNIKA ABITURYENTA	129

2110 1/2

1870

1871

1872

1873

1874

1875

1876

1877

1878

1879

1880

1881

1882

1883

1884

1885

1886

1887

1888

1889

1890

1891

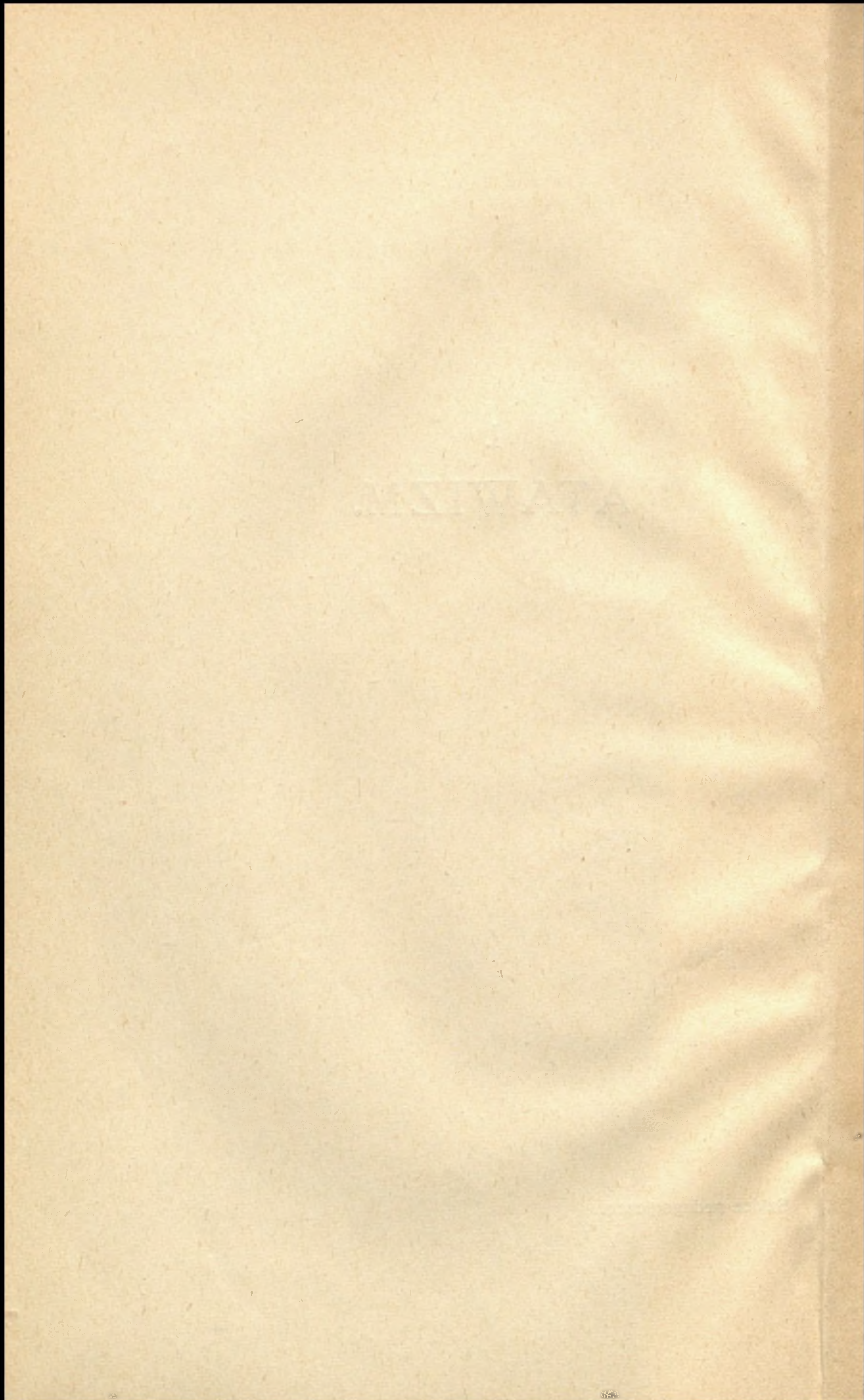
1892

1893

1894

1895

I.  
ATAWIZM.



Było to w lecie, na wsi. Wielki dom modrzewiowy, zgarbiony wiekiem, uginając się pod przykryciem słomy z grubą mchu warstwą, zażywał już nocnego wywczasu. Przestały ćwierkać pisklęta w puchem wysłanych gniazdach wróblich, poukrywanych w szczelinach poddasza, w dziurach strzechy, między deskami ganku. Skrzydłami jeszcze łopotały nietoperze w lotnych wywiadach między domem, oborami, stajniami i walącym się od starości, zagnojonym chlewkiem dla nierogacizny, — zanim zmęczone połowem nie zaczęły kryć się między czarne, księżycowem światłem osrebrzone tarcice sąsiedniej dzwonnicy, gdzie umarłych przed pogrzebami na noc składano w trumnach. Jak dumne widmo tajemnicze w senny mrok lip ukrył się wyniosły kościółek. Cichym szepciem dookoła dworku odmawiały wieczorne modlitwy rosochate grusze, gładkie i owocem obarczone papierówki, gęste szpalery porzeczek i agrestu, smukłe drzewka śliwowego gaju; a wtórowała im poważnym szelestem szerokolistna, przysadkowata lipa, opiekuńcze rozłożywszy konary nad ulikami pszczół, u stóp jej bezpiecznie śpiących. Odzywał się niekiedy z poddasza ziemnego loszku

puhacz, strasząc ludzi i ptactwo; warknął i zaszczekał czasem stary Kruk ze swej budy, któremu się coś przyśniło lub może pyzata twarz księżycy wydała się podejrzaną; to znów płoszyły nocną ciszę jakieś stłumione rozgwary, z blizkiej dochodzące puszczy; to z mokradeł szły ostatniem brzmieniem przerywane i dogasające już tony chórów żabich.

Z oddali gorącego i dusznego nieboskłonu migwały słabe błyskawice, na burzę, czy na pogodę...

Ale w dzieciennym pokoju czterech chłopców pomimo całodziennego gonitwy broniło się jeszcze przed snem wszechwładnym. Leżąc w łózkach cichym szeptem omawiali wypadki dnia minionego i układali plany na następny. Urwisze. Znarowili się nadmiarem sił i młodego życia, bujnością krwi, oczyszczonej ruchem, powietrzem, pełnią słonecznych promieni, dosytem owoców, jagód i jarzyn. Dusze ich grały nieustanną, niezmordowaną, ciągle zmienną melodią wyobraźni, a serca skakały pomysłami coraz to nowych figlów.

Najstarszy Bolek, trzecioklasista, szeptał do młodszych:

— Słysz ty, Lwie Serce, i ty, Pomidor, i ty, Jeżu Trusio! Nie dla parady wybraliście mnie swym kacykiem. To słuchać i we łbach notować. Mam nowalijkę, ale mi z góry za zasługę przyrzeczcie daninę.

— A wiesz, Bolek, jak mamę kocham — odezwał się Staś, zwany Lwiem Sercem, drugoklasi-

sta — jesteś tyran, drugi Neron. Jeszcze nic nie powiedziałeś, już daniny żądasz. Gadaj i basta, a o daninach potem!

— Po pierwsze — odciął mu Bolek — danina należy mi i tak, jako kacykowi; powtóre, jeżeli nie chcecie, nie powiem nic, kacykostwo złożę, a was, żaby, puszczę na zieloną trawkę. Nie możecie skarżyć się, że was łupię ze skóry. Cóż to zresztą za kacyk taki, któremu żadne nie przysługują prawa!

— Czegoż żądasz? — zapytał pierwszoklasista Jaś, zwany Pomidorem, bo łatwo się czerwienił.

— Żądam rozszerzenia przywilejów. W uroczystych pochodach Jeż-Trusia ma nieść przedemną berło z pióropuszem dębowych liści. Łuk mój musi być ozdobniejszy od waszych. Wreszcie do mojego skarbca musicie złożyć z własnych zapasów każdy jakiś dar wedle uznania i w sposób uroczysty; im zaś dar będzie cenniejszy, tem więcej zasługę wyróżnię. Odznaczenia bowiem należą nie tylko za dzielność w boju, polowaniu i radzie, ale także za zasobność i hojność na rzecz kacyka. Musicie to przyznać sami.

Przekonani tak wymownie zgodzili się wszyscy na żądanie Bolka, a ten wyjawiał:

— Otóż dowiedzcie się, niezdary, bo żaden z was tego nie przewąchał, ani nadworny mój szpieg, Jeż-Trusia, ani minister Pomidor, że jutro rodzice z panem Bardynem jadą na cały dzień do Białej, a my zupełnie wolni. Zrozumiano?

— Nie, doprawdy? Skąd ty to wiesz, gadaj! —  
ozwali się wszyscy.

— Wiem na pewno! Stefanowi kazał ojciec nasmarować brykę, a parę koni zatrzymać w stajni na obroku. Mama Kachnie zadysponowała objad: barszcz z uszkami, kalarepę nadziewaną i pierogi z serem, a na kolację mleko kwaśne i kaszę jaglaną ze śliwkami. Już mi ta kasza kością w gardle! I wyraźnie mówiła mama, że będą tylko same dzieci. Czy uważaliście, że pan Bardyn zadał nam więcej, niż zwykle? Ważniejsza, że dziś z kufra wydobyl sobie wizytowe odzienie i prósznik do podróży. Jadą wszyscy niezawodnie, Stefan mówi, że pewno do Białej. Jutro więc rano, wiara, żeby mi wszyscy od ósmej siedzieli przy książkach, porządnie, przykładowie, jak należy, a po odjeździe husz!! Mam bycze plany. Odbędziemy zresztą w grocie Wernyhory walny sejm o godzinie pół do 10. Teraz spać.

— Wiesz co jeszcze? — zauważył Lwie Serce — musimy jutro zwołać komplet, posłać z wiciami po Niedźwiedzia i Słonecznika.

— Dobry, bratku, pomysł, ale spóźniony. Obaj już wezwani do groty na sejm. Już późno. Spać!

\* \* \*

W nocy spadła krótka, lecz rześista, jak z cebra, ulewa, poprzedzona potężnymi gromami i odświeżyła przyrodę. Skoro tylko złoty świt nad puszcza i dworem zabłysnął, chłopcy jeden po

drugim zrywali się z pościeli i w pośpiechu, nawet odzienia nie narzucając, aby wzajemnie się wyprzedzić, wyskakiwali oknem do sadu; tu brnąc po mokrej trawie, między łopuchami i gąszczem chwastów, dybali na strącone przez burzę papierówki, na rumiane, podługowate gruszki, zwane pannami, na blado-żółte, soczyste cytrynówki. Łup ten, dar deszczu i burzy, należał do nich z prawa; składali go w troskliwie ukrytych schowkach, skarbcami zwanych.

Ileż to wysiłku i pomysłu rozwinął każdy, aby skarbiec swój wykopać w miejscu ukrytem, suchem, od owadów, mrówek, szerszeni, myszy, jeża, żab, węzów i tym podobnych nieprzyjaciół zabezpieczonem. Głęboko w ziemi wydrążone, kamykami różnych barw i kształtów, »kozami«, (t. j. odłamkami krzemieni) lub szczątkami cegieł szczerze i ozdobnie wyłożone, podzielone na osobne komory: spiżarkę, spichlerz, świetliczkę, zbrojownię i skarbczyk, — stanowiły dla każdego odrębny świat, pilnowany, jak oko w głowie. Czegoż tu nie było? Wszystko, co zmysły w jakikolwiek sposób nęci, co wyobraźnię związkiem z przyrodą i życiem pobudza, przybierało cechę nadzwyczajności, rosło w cenę, olbrzymiejąc do rozmiarów klejnotu lub tajemniczego amuletu: pióra czaple, sokole i pawie, szkiełka od starości tęczowo zabarwione i gdzieś z odwiecznych wygrzebane rumowisk, odłamki starej porcelany, połamane podkowy, rdzą zgryzione gwoździe i blaszki, szczątki

łańcuchów, śrub i innego żelaziwa, kawałki historycznych może grotów, krzesiwa, różnobarwne kamyki, zasuszone gardziele kaczek i gęsi, wyproszone od mamy lub kucharki, skamienieliny drzewa i zwierzęcych kości, karykaturalne narośle i stwardniałe zwyrodnienia roślin, jak mursz kukurudzy, drzewne grzybnie, wyrostki woszeryi, skoriapiaste plechy porostów, arabeskowe dziwolągi mchów i paprotników, bulwy, korzenie i szyszki, żołędzie w miseczkach, bazie, jaja i gniazda ptasie. A w innej przedziałce łuki misternie rzeźbione ze strzałami, nasadzanemi dla pędu kulkami ze smoły, wosku lub laku z ostrym grotem gwoźdźcia lub igły; maczugi i pałki krzemieniami wysadzone, gwizdki i fujarki, gumowe proce, krzesiwa, sidła, zapasy kapiszonów i prochu, uszczknięte pokryjomu z ładownicy taty, kozik i świderk, narzędzia olbrzymiej ceny, za które płacić trzeba było tysiącami dukatów w formie świecideł.

W spichlerzu różne nasion posortowanych gatunki, zbiory orzechów, owoców, grochu w strączkach, rzepy jadalnej i marchwi, nieco cukru i innych łakoci, odłożonych na czas potrzeby.

Tego świtu łup owoców po nocnej burzy suto zaopatrzył spiżarnie. Zadowoleni tedy słodko przespali do rana, poczem, składając dowód gorliwości, po odmówieniu wspólnego pacierza i wyczyszczeniu odzieży zjedli śniadanie i z budującą przykładnością zasiedli nad książkami, zapewniając od-

jeżdżających rodziców, że domu nie wywrócą do góry nogami.

Dzień zakwitnął złoty, jak marzenie, a promienne słońce rychło wypilo resztki dżdżu, osiadłe na liściach drzew, trawach i sadach. Tylko po drogach i folwarcznych dziedzińcach stały szeroko rozlane kałuże deszczowej wody. Świat rozbrzmiał świergotem ptactwa; czeladź męska rozeszła się do robót polnych, zabierając na cały dzień strawę, w domu pozostały tylko kucharka i czworo dziewcząt, zajętych pracą domową.

Jeszcze nie ucichnął z oddali turkot bryki, odwożącej do miasta rodziców i nauczyciela, chłopcy rzucili w kąt książki i z gromkim a zgodnym na hasło Bolka okrzykiem »hura!« na bosaka, jak zwykle w lecie, wybiegli z domu. Na czele kacyk, Lwie Serce w poskokach i dzikich okrzykach Indyanina za nim w tropy; piskiem i wizgiem wtórował im Pomidor, — Jeż-Trusia przeraźliwie z tyłu gwizdał, a stary Kruk nie posiadał się z radości, skakał, jak szalony, chłopcom na piersi, wymachiwał ogonem i szczekał zapamiętale.

Hasło bojowe opiewało: Najpierw zrekonoskować na całym świecie ślady nocnej burzy, potem każdy uzbroi się w swym skarbcu; wreszcie wszyscy staną w grocie Wernyhory na walną radę wojenną.

Świat okazał liczne dowody nocnej katastrofy; morze Śródziemne między stodołą a oborami gwałtownie wezbrało, tworząc katarakty i nowo po-

wstałymi strumieniami łącząc się za chlewkiem z morzem Czarnem; koło półwyspu Krymskiego wypłoszono dwa wieloryby (w postaci prosiąt), które korzystając z obfitości wód zabłądziły w te strony. Wyspa Sycylia zniknęła z powierzchni morza, zalana do szczętu; najgroźniej wyglądał ocean Atlantycki; brodzili też po nim, jako olbrzymi zatapiając spotkane okręty korsarskie (listowia i pływających patyków), walcząc z węzogłowami i rekinami, odkrywając wielce pomyślnym trafem, w czym Jeż-Trusia zdobył sobie wiekopomną sławę, wybrzeża nowej wyspy, uroczyście za wspólną zgodą ochrzczonej Jeżylądem. Wyspę tę nawodnili kanałami i zabezpieczyli przed napadami tubylczych kanibalów obwarowaną twierdzą.

Syci przygód, podróży i sławy rozbiegli się wreszcie każdy do swego skarbcza. Nie śledził jeden drugiego, a chociażby nawet mimowoli poznał tajemnicę schowku, umiał uszanować cudzą własność, współzycie bowiem prędko doprowadziło do ustalenia pewnych zasad, których naruszenie solidarnie zwracało ogół przeciwko burzycielskiej jednostce. Proste prawo: »Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe«, wyrosłe naturalną drogą rozwoju ze zrozumienia wspólnego interesu, bronione było tolerowanym przez zwyczaj natychmiastowym odwetem (oko za oko, ząb za ząb) i sądem kacyka, któremu poddać się musiał winowajca pod groźą banicyi.

Uzbrojeni w łuki, maczugi i proce, każdy z ja-

kiemś narzędziem do wydawania przeraźliwych gwizdów, pędem oto zbiegają do groty: najdonioślej rozlega się ołowiany gwizdek kacyka, który na znak godności nosił zawieszony na czerwonym sznurku na szyi. W grocie czeka już piętnastoletni syn leśniczego, Michaś, przewany z powodu mrukliwości i ociężałości Niedźwiedziem, oraz Słonecznik, wysoki jak tyka na fasole i chudy kolega Bolka, bratanek miejscowego proboszcza. Po mustrze i postawieniu przed grotą straży w postaci dwóch pniaków z nasmarowanymi drzewnym węglem wąsami, rozpoczyna się wojenna narada.

Zagaja Kacyk, mając u czapki kité piór gęsich, na piersi potężną szczękę końską, a łuk dębowym umajony liściem. Wnosi, aby do domu przez cały dzień nie wracać, natomiast zabezpieczyć raz na zawsze od nieprzyjaciół tereny myśliwskie i upolować tyle, aby na dwie uczyty wystarczyło wszystkim: obiedną i wieczorną. »Pierwsze — mówi — zadanie najważniejsze. Oto sąsiednie dzierżawy (pastwisko za stodołą) zawojował odwieczny nasz i chytry nieprzyjaciół; liczne jego wojsko (gęsi, prosięta i owce) wpadło nagle o świcie i pustoszy niwy. Wróg to zarówno podły, jak tchórzliwy, damy mu łatwo rady, chociaż sam ziemniakożerny Mrówkojad (pastuszka Hanka) we własnej osobie stoi na jego czele. Plan mam następujący: Nasza armia rozdzieli się na trzy części; do pierwszej pod moim dowództwem należeć będzie Pomidor; szerokim łukiem zaszedłszy skrycie tyły wrogowi,

zaczaimy się w puszczy Smoczej, podpełzniemy aż ku ostatnim jej chaszczom jak najbliższej głównej kwatery Mrówkojada. Drugi oddział pod wodzą Lwiego Serca z Niedźwiedziem zaczai się i podpełźnie od Atlantyku; trzeci uczyni toż samo ze Słonecznikiem na czele i Pomidorem od gościńca. Na znak dany świstawką wypaść nagle i sfornie z ukrycia, rozpędzić armię wrogów na cztery wiatry, a Mrówkojada zabrać żywcem do niewoli.

— Możeby jednak dobrze było straż postawić od strony zaprzyjaźnionego mocarstwa (łan zboża), aby niedobitki wpadłszy tam nie wywołały dyplomatycznych zawikłań?

— Zgoda. Słonecznik da sobie sam rady, a Jeż Trusia stanie na tej granicy neutralnej, używając wszelkich przysługujących na wojnie sposobów dla odpłoszenia niedobitków. Po bitwie zaś wszyscy tu zgromadzimy się, przyprowadzając łupy i jeńców.

Jak przebiegle i sprawnie plany te wykonano, jak całe stado gęsi, owiec i prosiąt w straszliwym popłochu i wrzawie rozbiegło się na wszystkie strony po błoniu, zaroślach i folwarku, w jak bohaterowski sposób Trusia krzykiem, bieganiem i pałką odstraszał niedobitki od łanu zboża, jak Hanka ze strachu straciła głowę i rozbeczała się, gdy ją pochwycono i związano, jak potem przyszedłszy do przytomności rozerwała słabe więzy i uciekła na czem świat stoi, złorzecząc i odgrażając się,

do kuchni: — napróżno byłoby opisywać — żaden opis rzeczywistości nie wyrówna.

Upojeni trofeami zwycięzcy, umaiwszy zielenią czapki, szli w tryumfalnym pochodzie do groty; na czele pociesznie kroczył, jako awangarda, pyzaty i mały Trusia; za nim wódz wymachiwał buzdyganem; puszczał od czasu do czasu świszczącą z łuku strzałę, pysznił się końską szczęką i zanucił wreszcie pieśń wojenną, którą z krzykiem zapalu podchwyciły kroczące za nim zuchy.

\* \* \*

I znowu zasiedli wszyscy do narady. Kacyk wyraził radość z powodu zwycięstwa, udzielił odznaczeń z ubolewaniem tylko podnosząc smutną okoliczność, że wódz wrogów, Mrówkojad, uszedł z życiem do bezpiecznej twierdzy. Należy go koniecznie ścigać i ubezwładnić. Zanim to nastąpi, wypada pomyśleć o walnem polowaniu dla urządzenia uczty i zaspokokojenia głodu.

Radzono długo i szczegółowo. Stanęło wreszcie na tem, że każdy natychmiast miał przynieść z własnych zapasów: jabłek, gruszek, orzechów, marchwi, rzepy, zielonego grochu, cukru i pierników; następnie kacyk, Niedźwiedź i Lwie Serce mieli udać się na łowy dla zdobycia innych prowiantów; Słonecznik i Pomidor — zająć się rozpaleniem wielkiego ogniska, Trusię zaś, jako nad-

wornego szpiega odkomenderowano do domu, aby badał sytuację, śledził zwłaszcza Mrówkojada i Kachnę i doniósł radzie wojennej o wszystkim, co zauważy.

Sporo upłynęło czasu; już ogień buchał pod grotą ogromny, stos suchego łuczywa przygotowany czekał całopalenia. Wreszcie wrócili z łowów myśliwi. Okropnie kurzawą zawałany kaczyk złożył łup drogocenny: osiem świeżutkich jaj kurzych, zdobytych z trudem, zasługującym na najwyższe uznanie. Budynek, służący za spichlerz na zboże, opierał się w taki sposób na murowanych krawędnikach, że między deskami podłogi a ziemią była przestrzeń próżna na całej szerokości i długości budowli, ale tak niska, że zaledwo mały chłopak z wysiłkiem i niebezpieczeństwem uduszenia się mógł tam, jak wąż, wpełznąć na brzuchu. Przestrzeń ta była ulubionym siedliskiem różnych istot łaknących ziarna, które sypało się przez szpary i mysie dziury. Zwłaszcza dezenterzy domowego drobiu mieli tu istny azyl wolności, złość bowiem i zawziętość dziewczek folwarcznych nie sięgała do tych ciasnych czeluści i gdyby nie łasice, kuny, jeź, lisy i tym podobne potwory, byłyby mogły tam żyć przez całe lato, jak w raju. I tak zdarzało się nieraz, że kwoka ku niezwykłej radości świata niewieściego wyprowadzała nagle naienne światło z pod spichlerza okazałe stadko żółciutkiego przychowku. Stamtąd to osiem jaj wydobył bohaterski Bolek.

Lwie Serce w wielkiej króbcie łubianej niósł pełno borówek, uzbieranych w poblizkim lesie, z kieszonek zaś i chust wysypał zapas młodych ziemniaków, wygrzebanych z pod korzeni na ojcow-  
skiem polu.

Najpóźniej wrócił ociężały Niedźwiedź. A był zasapany i czerwony, jak burak, oczy zaś świeciły mu dziką radością, — jakąś cenną widno zdobył niósł w torbie na obrok. Obstała go cała rzesza, gdy z torby na ziemię wysypywał wielki stos nielitościwie pozabijanych wróbli. Osłupieli wszyscy na widok połamanych skrzydełek, nastroszonego pierza, pomiażdżonych, krwią ociekłych i martwo na szyjkach zwisłych główek z sopelkami rubinowej krwi u dzióbków.

— Jezus Marya! Niedźwiedź, coś ty zrobił! — zawołał zgorszony Pomidor. Lecz chłopcy parsknęli śmiechem i głośnie »hura!« wzbiło się pod obłoki.

— Skąd, gdzie, w jaki sposób? — zawołano dookoła.

— Szedłem, widzicie, koło koniuszni, z tyłu i słyszę straszną wrzawę wróbli, jakby kto z jednych niecek do drugich przesypywał małe kamyki, tak to gałgaństwo chichocze, krzyczy, szaleje, gzi się, wrzeszczy, aż uszy bolały. Patrząc, okno od komórki na obrok otwarte, a na oknie i przed nim, powiadam wam, chmara, rój, tysiące wróblisków. Czekaście, myślę sobie, dosolę wam, dyabły, a wiedziałem, że w komórcie musi być nad



zasiekiem aż gęsto od tego mrowia. Poszedłem do stodoły, zwinąłem dobry naręcz słomiska, w sam raz na owo okno dostateczny, podkradłem się ci-chutko po za węglem i nagle hyc! wyskakuję z za węgla i w mig okno zatykam słomą. Co tam się nie działo po ciemku w komórce, jak to paskudztwo łopotąło, huczało, krzyczało, nie podobna wyrazić. Ale to nic. Dopiero był bał, gdym się przez drzwi uchylone do środka dostał. Jej, jej! aż mi w głowie huczało od łapania i ukręcania gardziołek. Czasem po kilka na raz za nogi, łebkami po krawędzi zasieku buch! i już jest.

— Bydlak jesteś! — wrzasnął zaperzony Pomidor. Lecz znowu śmiechem parsknęli chłopcy, a kacyk odezwał się groźnie:

— Słysz ty, Pomidor, nie zapominaj się, tobie wara tak! My nie baby, a tu nie byle co, lecz wojna i polowanie!

— Widzicie, mówił Niedźwiedź, skrobiąc się w głowę, nie mam do Pomidora żalu, bo mi teraz, gdy ochłódłem, samemu markotno. Ale, psia krew, mam już taką naturę, że, jak pies, uganiam za dziczyzną i czy to będzie ryba, czy lis, jeź, kuna, łasica, zajączek, puhacz, przepiórka — muszę chwycić, tak to bestyjstwo nęci. Gdy mi w kołysce jeszcze — powiadają — dano do rąk drżącego wróbla, tak mocno miętosilem go w piąstce, że nie było sposobu odebrać, aż wreszcie wróbel ani zipnął.

— Prawdziwyś niedźwiedź! — zdecydowali chłopcy.

I jęto naradzać się, jak sporządzić ucztę. Wtem nadbiegł ze sprawozdaniem szpieg Trusia: — Za pół godziny będzie obiad, Kachna wszystkich woła; także cała załoga twierdzy zasiędzie do stołu razem z Mrówkojadem, który odgraża się i swe pułki już pozgromadzał. Może byłoby dobrze pójść na zaproszenie...

— Jesteś żółtobrzuszek! — zawołał z gniewem kacyk. Najlepiej byłoby przytknąć ci do dzióbka z pypciem flaszeczkę ciepłego mleka, żebyś pił przez smoczek. Do kata! Natośmy polowali, żeby wszystko rzucić i iść na barszczyk z pierożkami? Hola, chłopcy, nie tędy dla prawdziwych zuchów droga! Sami sobie siłą zdobędziemy, co nam potrzeba!

— Brawo — krzyknęli wszyscy. Siłą sobie zdobędziemy!

— Potrzeba nam soli przedewszystkiem i chleba, resztę mamy; ogień jest, zwierzyna jest, furazu zapasy są, więc do narady i dzieła!

Jak i nad czem radzono, nie wiadomo. Dość, że po jakimś czasie wszyscy się rozbiegli.

\* \* \*

W domu stara Kachna nakryła dla paniczów do stołu; wyśmienity barszczyk z uszkami buchał parą z sagana; rozchodziła się po kuchni aroma-

tyczna woń kalarepy, nadzianej mięsiwem; wrzały ostatnim warem pierożki, a w rynience rumieniło się masło, utartą bułeczką zaprawione.

Poschodziły się już folwarczne dziewczęta i pozasiadały wygodnie do stołu, mało zwracając uwagi na Trusią, który zapewniając, że chłopcy wnet przyjdą, w podejrzany sposób majstrował coś koło okien, niby muchy i grube szerszenie łowiąc.

Odszedł wreszcie z kuchni do sionki, a z sionki cichutko otworzył zaszczepekę do sąsiedniej ciemnej komory. Dziwna to była i jedyna w swoim rodzaju czeluść. Cała zasmolona i czarna, jak wnętrze węglarni, zapełniona była setkami drobiu, który tu na czas pewien zganiano, aby razem nakarmić i znowu na wolność dziennego światła wypuścić. Dopiero wzrok do góry podniesiony poczuł, że cała komora była dolnem rozszerzeniem olbrzymiego komina centralnego, który zwężał się w kierunku wysokości, a na samym końcu w górze przeświecał wylotem dnia słonecznego, w całym zaś wnętrzu błyszczał aksamitno-czarną, grubą warstwą sadzy. Do tego komina, jak potoki do głównego łożyska, spływały wyloty różnych kominowych przewodów z całego domu.

W tej to komorze, zapełnionej teraz po brzegi skrzydlatą rzeszą wiejskiego drobiu, która łaknęła obiadu, przykucnął podstępny Trusia, przysłuchiwał się gwarom ptactwa i oczekiwał hasła.

W kuchni zaś Kachna z twarzą od ognia zaczerwienioną i rękami po łokcie zakasanymi już

rozlewała strawę dziewczkom do mis ogromną warzęchwą.

Nagle rozlega się pod domem przeraźliwy gwizd i niebawem staje się coś niesłychanego. Przez rozwarte nagle drzwi wpadają do kuchni z wrzaskiem, kurzawą i zamętem, unosząc się w górę na skrzydłach, całe stada kur, gęsi, indyków i kaczek, wypłoszonych z komory. Powstaje krzyk i chaos nieopisany. Rozwierają się wszystkie okna, a w nich zjawiają dziwaczne głowy, sadzą uczernione, kitami piór nastroszone, w baranich czapach, z rogami: owe potwory w mig wpadają przez okna do kuchni ze świstem, nieludzkim wyciem, wrzeszczeniem na gęsich szyjach i innych instrumentach. Rozlegają się strzały z kapiszonów, huk jakiejś eksplozyi, która zamęt i wrzawę potęguje do piekielnych rozmiarów. Pouciekały przerażone dziewczki, wlaź pod stół ze strachu Mrówkojad, tylko jedna Kachna wnet oprzytomniała i zaperzona porwawszy kociubę jęła rozglądać się za złoczyńcami.

Ale już ich nie było. Pochwyciwszy bochen chleba, jaszcz soli i kociołek z gorącymi pierogami, ulotnili się, jak kamfora w słoju.

\* \* \*

W kuchni dawno spokój poobiedni; ale od groty długo jeszcze dochodził gwar i śmiechy rozbawionej bandy. Potem Kachna do wieczora słyszała na podwórzu jej krzyki w różnych stronach fol-

warku. Brzmiały przede wszystkim wiwatami i nawoływaniem dziewczęce, lianami splątane, cieniem omroczone puszcze tyczkowej fasoli i konopnych łąnów; rozlegała się także wrzawa między zakamarkami folwarcznych zabudowań, szopą z bryczkami, stodołą, a stogami złocistej, słońcem przesyconej słomy, gdzie łatwo było urządzać schowki i wygrzebywać nory; wreszcie do strzelania z łuków dostarczała żab, węży, ropuch i innych podobnych potworów błotnista, gęsto zachwaszczona i w ponurych półcieniach ukryta sadzawka.

\* \* \*

Pod wieczór, gdy od zachodu rześiste smugi utrudzonego słońca na czerwono zaczęły okraszać stary dworek i kopułę kościółka, a przeświecać przez lipowych konarów arabeski: zgromadzili się wszyscy myśliwi młodzi na wzgórku obok głównej bramy przed dzwonnica. Tu w jej wnętrzu stuletni dziad kościelny, Mikuli, przepasany czerwona krajką i w postołach z łyka na nogach, zdjął z łysej zrzadka mlecznym włosem okolonej głowy czapicę baranią, rzucił ją na ziemię, przeżegnał się pobożnie i szepcząc pacierze rytmicznie ją pociągać za sznur, zwisający z góry, dzwoniąc na Anioł Pański. Zdjęli z głów kapelusze chłopcy i naśladowali starca, który po podzwonem zasiadłszy na progu snuł im z zamroczonej wiekiem pamięci różne dziwy.

Tymczasem z pól i pastwisk już wracały na

spoczynek nocny w kurzawie i rojowisku mszyc i bąków, z rykiem i bekiem spragnione napoju stada różnego dobytku domowego.

I chłopcy nie ociągali się dłużej, rozmyślając, jakby przejednać rozgniewaną Kachnę. Ale Kachna nie na żarty była zadąsana i ani słowem nie odpowiadała na dyplomatyczne wysiłki Bolka. Toteż z ciężkiem sercem szli spać po wieczerzy, ze zmęczenia ledwo już trzymając się na nogach.

\* \* \*

Po powrocie państwa i herbacie weszła z uroczystą miną Kachna i całując, jak się patrzy, po rękach zdziwionych swych chlebodawców, wypowiedziała sakramentalną formułę podziękowania za służbę: »dwanaście lat służyła wiernie, na własnych rękach wypiastrowała dzieci, (to mówiąc fartuchem obcierała łzy natrętnie płynące po twarzy), jak ojca i matkę pokochała pana i panią, ale na stare lata nie chce duszy obciążać śmiertelnym grzechem i patrzeć beczynnym na tę Sodomę i Gomore, jaka tu pod niebytność państwa się dzieje«.

\* \* \*

Nazajutrz zasiedli rodzice na sąd: ojciec w fotelu z fajką na długim cybuchu i w wyśmienitym humorze; matka obok łagodne oblicze to podnosiła na męża, to schylała ku kłębkowi i robocie na drutach.

— Mówisz, duszo, żeśmy zbyt pobłażliwi. No,

nie wiem, ale przecie trudno oczyma Kachny patrzeć na te wybryki.

— Zapewne, Janiu, zauważyła roztropna matka; wiesz przecie, że całą duszą wierzę w twój takt pedagogiczny. Jednak wolałabym, aby żywotność naszych chłopców objawiała się w sposób więcej cywilizowany, nawet gdy mowa o zabawie na zupełnej swobodzie.

— Właśnie to, zupełna wolność skłania do wylewu najpierwotniejszych, gdzieś w głębi duszy drzemiących popędów i instynktów. Atawizm! A skrępujesz własną ideą, to już przymus, już po wolności, a zapewne i po samorodnym uroku swobodnej zabawy. Ta jednak nie tylko siły fizyczne rozwija, lecz także kształci różne wcale cenne przymioty ducha: dzielność czynu, popędy bohaterskie, odwagę, solidarność, zmysł honorowości i subordynacyi, szczerłość, wspaniałomyślność, prostoduszność... Jakież to cenne przymioty dla pokolenia, które ma żyć w obecnych naszych stosunkach, zatrufwane więziennymi wyziewami różnych podłot: służalstwa, obłudy, skrytości, tchórzostwa, bezsilnej złości...

— Prawda, prawda! Ale musisz mi jednak przyznać, że także owo rozpasanie na poły dzikich i pierwotnych, jakichś atawistycznych, jak nazwałś, instynktów powinno mieć ograniczenie, aby nie przeszło w kulturę tego, co piętnujemy mianem rozwydrzenia, wyuzdania, zdziczenia...

— Niezawodnie, zupełne rozpasanie dzikich

instynktów, brutalizm, nieposzanowanie ładu i pracy... tego nie pochwalam... Zwłaszcza pracę ludzką powinna dziać uszanować...

— Jakże ich ukarzesz?

— Jak mi radzisz?

— Szkody nie wyrządzili żadnej, zaniedbali jednak naukę, a Kachnie i Hance wyrządzili wielką przykrość. Winni zadosyć uczynienie...

— Dobrze, postąpimy w tym duchu.

Na wezwanie rodziców weszło czterech malców i stanęło rzędem. Po szczerem sprawozdaniu Bolka, który na siebie brał wszelkie winy, po małej kontrowersyi, w której inni bronili Bolka i sami nie usuwali się od odpowiedzialności, nie nastąpiły długie morały. Lekcyje musieli odrobić, a Kachnę i Hanę przeprosić. Zwłaszcza starą Kachnę. Ta wszystkich czterech na rękach własnych piastowała, na mocy wiernej służby i bezgranicznego do całej rodziny przywiązania winna być poczytana za przyjaciółkę domu.

— Jakże ją przeprosicie?

— Pocałujemy w rękę!... — zawołał zaczerwieniony i porywczy Pomidor.

— Tyś poczciwy i dobry, Stasiu — odezwała się matka, mając oko miłosną łzą zroszone.

— Chodź, niech cię uściskam i do serca przytulę. Nie wstyd pocałować w tę wierną, trudem i wiekiem pomarszczoną rękę.

Rozbeczał się Pomidor.

— Nie chcę was wychowywać na niedołęgów,

niezdarów i niewolników — dodał ojciec; pamiętajcie jednak, że nie godzi się pracy zaniedbywać dla zabawy, a w zabawie dobrze zachować pewną miarę i dążność do uszlachetnienia. Teraz marsz do pracy!

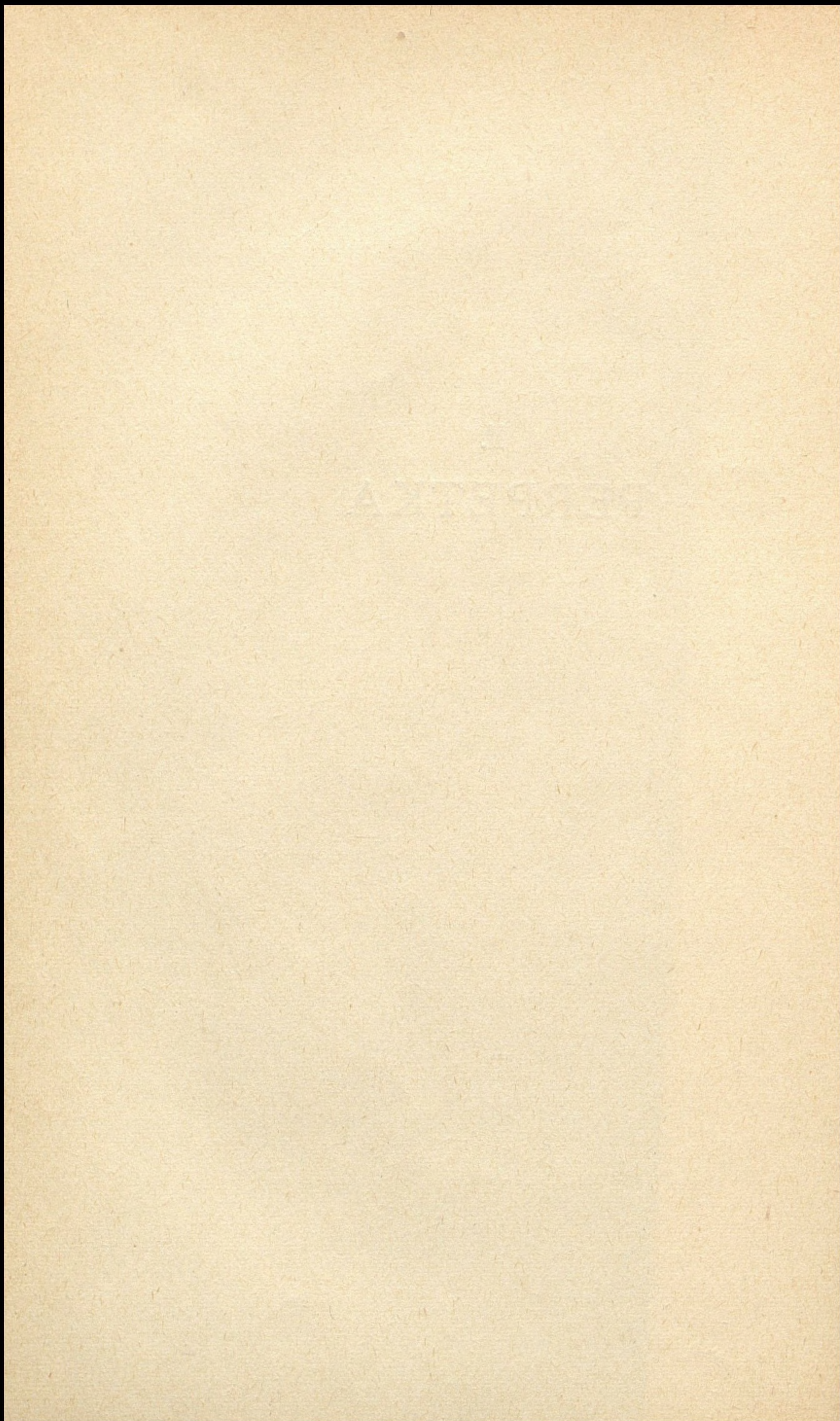
Ucałowali chłopcy z uszanowaniem ręce rodziców i wyszli.

— Dzielne wisusy! — rzekł z dumą ojciec, wytrząsając popioł z fajki.

— Jakże ich kocham, jak ich kocham głęboko... aż się lękam tej miłości... — cichym głosem przez łąkę rozrzewnienia mówiła matka.

II.

PERPETKA.



W czwartek wieczorem w domu obywatela Nahory, właściciela kawiarni z gramofonem, grającą szafą i kapelą damską, — niepokój i zamęt. Piętnastoletnia jedynaczka, Cesia, nadzieja rodziny, dziewczyna gwałtowna i kapryśna, ale bardzo piękna i z tego powodu rokująca najwspanialsze zamążpójście, wyszła po obiedzie do zwykłej spowiedzi szkolnej i gdzieś zginęła bez wieści. Nie wróciła na kolację, napróżno jej czekano do godziny dziewiątej. Między małżonkami i babką rozegrała się z tego powodu scena wzajemnych wyrzutów i oskarżeń.

— Nie ostrzegałam was — mówiła zgorszona babka — staruszka, oddana dewocyi, chodząca w czarnej szacie w formie zakonnego habitu z pękiem różańcowych koronek u pasa i wielkim krzyżem u szyi — nie ostrzegałam was, że dziewczyna ta stacza się prosto na dno piekła? Od małego dziecka ladaco. Przypomnijcie sobie, moi mili, jak w czasie procesyi na Boże Ciało rzuciła w ornat celebrującego księdza welonem i koszykiem kwiatów i uciekła, nie chcąc w tył się cofać i rzucaniem kwiatów czci składać Najświętszemu Sakramentowi. A samam za własne pieniądze wtenczas

kupiła sukienkę białą z welonem i na co? Na boską obrazę! A jak wyśmiewaliście się ze mnie wówczas, ja ją za to wychwalali!.. Chyba już ślepi zgoła jesteście, nie widząc, co się z nią od dwóch lat dzieje. Toć wyraźnie popadła w szpony szatana. A to potłuczenie lustra i naczynia stołowego zeszłego roku? A scena z główkami od zapalek, które chciała połknąć? A rzucenie się z pięściami na kucharkę dwa miesiące temu? A te wieczne spazmy, płacze po kątach, zjadanie kredy, wapna, ołówków i wypijanie z flaszki atramentu? Ile razy pragnęłam zbudować ją religijnie, szatan przez usta jej odpowiadał językiem tak bluźnierczym, że uszy sobie musiałam zatykać, aby słuchaniem nie zgrzeszyć. Niedawno dawałam jej do czytania »Żywoty świętych pańskich« i »O naśladowaniu Pana Jezusa«: i wiecie, co mi odpowiedziała? Czemu babka nie da mi tego, co sama czytała w moim wieku: Caraccioli, Dekameronu i Paul de'Cocka? Pod poduszką znalazłam raz u niej »Dzieje grzechu«. Tłómaczyła się, że skoro mama czyta tę powieść, to i córka może czytać!

Ale wy głusi jesteście na moje rady, żyjecie sami bezbożnie, nauczyliście ją szydzić z kościoła, z nabożeństwa, z księży, zamiast do egzorcyzmu, zdałby się jej — ciągniecie ją po nocach do tej rozpustnej kawiarni, aby wam znęcała młodzież!..

— No, już doprawdy uszy więdną od tego gadania! — zawołał ze złością Nahora, choć musiał liczyć się z teściową, jako właścicielką domu

i sporego kufra z kapitałami. — Przecież zawsze szanujemy rady mamy, ale co się tyczy kawiarni, nie ja winienem. Trudno walczyć z własną żoną.

— Skończy się jak zwykle na tem, że ja wszystkiemu winna! — zawołała matka Cesi. — Tymczasem kto dziewczynę zahukał tak, że zamknęła się w sobie i straciła zaufanie do rodziców? Kto ją szturchał, obrzucał przezwiskami, ułożył całą litanię kar śmiesznych: pierwsza — przepisywanie modlitwy, druga — pozbawienie obiadu, trzecia — odebranie zegarka, czwarta — stanie w kącie, piąta — klęczenie, szósta — zamknięcie w łazience! Nie mój to pomysł taki mądry! A mama ciągle tylko w uszy jej kładła: modlitwę, post, spowiedź, koronkę, szkaplerze, pokutę! To śmiertelny grzech, za tamto piekło, owo woła o pomstę do nieba! W taki sposób doprawdy mogła sobie obrzydzić religię i zważyć o Panu Bogu.

— Ty mnie — przerwał Nahora — wyrzutów nie czyn! Samaś najwięcej winna. Ja musiałem przyzwyczajać do uległości, a przywary tępić. A jak inaczej? Tylko grozą, bo tylko ta prowadzi do moralnego i szczęśliwego życia. Bez pokory i uległości niema cnoty, jest bunt. Nawet Pan Bóg za bunt strącił aniołów do piekła. Posłuszeństwa bożym i ludzkim prawom inaczej nie nauczysz, tylko postrachem i karą. Bez tego co? Rozpasanie, rozpusta! Ale ty jej w oczy nazywałaś mnie „starym dziwakiem“, a moje kary ośmieszalaś. Myślisz, że nie wiem, jak do łazienki, w której siedzieć

miała o chlebie i wodzie, nosiłaś owoce i cukierki? Nie ja schlebiałem jej zachciankom, nie ja piękność wmawiałem, nie ja stroiłem, jak lałę, uczyłem mizdrzyć się do chłopców, strzelać oczami. Nie ja prowadziłem do kawiarni za bufet.

— Oj, oj, tyle gadania! Cóż bufet złego? Lepiej byś poszedł na miasto poszukać jej, żeby nocy gdzie na bruku nie spędziła, ta waryatka! Skaranie boże!

\* \* \*

Tymczasem Cesia dnia tego, wyszedłszy do kościoła już miała przystąpić do konfesjonału, gdy któraś z koleżanek szepnęła jej najświeższą nowinę, obiegającą od ucha do ucha, że profesor języka polskiego, Dr. Z. żeni się z dawną uczennicą, panną B., a ślub w najbliższą niedzielę.

Wiadomość ta oddziałała na Cesię, jak grom, acz była dawno oczekiwana. Przy konfesyonale szeptała księdzu nieprzytomnie i bez związku, wreszcie ku ogólnemu zgorszeniu popadła w śmiech spazmatyczny. Ksiądz wstrzymał absolucyę i kazał zgłosić się później.

Wybiegła z kościoła w stanie duszy, z którego najmniej sama zdolna była zdać sobie sprawę. Pędziła, jak obłąkana, po ulicy, mając tylko świadomość tego jednego, że stało się jakieś straszne, przerażające nieszczęście, że trzeba uciekać jak najprędzej i najdalej od tych kamienic obojętnych, od tych fur wieśniaczych, które nie wiedzieć po

co i na co jadą na przedmieście, od tych do szpiku kości przenikających i krzykliwych kolejowych świstów przy warszawskiej rogatce. Och, ciszy, ciszy, zaszyca się w jakiej kryjówce leśnej! Wpadła za rogatką w las, zwany Metzem, i tu głowę kurczowo obiema rękami ująwszy, rzuciła się w trawę, wybuchając przeciągłym, jęklwym płaczem. Tu nikt jej nie widział, ani słyszał, prócz niemych w jedwabnej szacie modrzewi i promieni czerwcowego słońca, z ciekawością przyglądających się przez koronkową zieleń gałęzi dziwnemu dziewczęciu.

Leżała przez parę godzin bez ruchu, bez życia, z zamartwym już w piersi płaczem, chwytając roje rozpierzchłych, poplątanych, boleśnie w serce gryzących myśli. — Co zrobić? Co zrobić? — zapytywało natarczywie uczucie. — Nic, poddać się konieczności, odpowiadał rozum. — Nigdy, lepiej umrzeć! — wybuchalo uczucie. Ojciec deptał nogami i poniewierał, matka ciągnęła do hańby, babka napawała goryczą obłudy, koleżanki i nauczyciele odstręczali złościwością: — on jeden otwierał niebo piękna i ideału, ogrzewał serce dobrocią i wdziękiem i ta wstrętna kokietka ma być jego żoną!.. Czyżby nie widział i nie czuł, że w ogień i wodę za nim skoczę, kwiatami wyściele mu drogę, krwi własnej utoczę, z pod nóg proch włosami zamiatąć pragnę? Nie dostrzegał tego, nie widział, nie czuł, patrzył na mnie jak na pierwszą lepszą uczenicę... A ja dla niego, tylko dla niego, dla niego

wszystko.. żeby być jego dumą i chlubą!.. Co zrobić? Jak zwrócić jego uwagę na to piekło rozpacz, na stracone słońce nadziei, ocalić go przed tą podłą intrygantką.

Już słońce znacznie pochyliło się ku zachodowi, gdy rozgorączkowana wybiegła do sąsiedniego sklepiku. Tu kupiła arkusik papieru listowego z kopertą, rączkę z piórem, markę pocztową i rzuciła zdziwionemu kupcowi jedyną koronę, jaką miała, nie odbierając reszty. Pędem wróciła między mdrzewie, zębami rozgryzła sobie skórę na ręce i w sączącej się krwi pióro maczając, pisała do ubóstwianego nauczyciela list pełen wynurzeń, wykrzykników, wybuchów groźb, miłości i zaklęć.

Czerwień zachodu przez szpary drzew krwawo zabarwiła jej bujne, złociste włosy, nad listem rozwichrzone.

Poszarzało zupełnie, gdy skończywszy, rzucała list do skrzynki pocztowej.

Lecz czyn ten mało jej przyniósł pociechy, tylko wybuchy gwałtownego żalu ustąpiły miejsca beznadziejnemu smutkowi, grobową pustką mrozącemu serce. Po drodze spostrzegła rozwarte podwoje kościółka i zawahała się, czy ma wstąpić. Weszła po namyśle, złamana, pokorna, sama nie wiedząc, po co, czując się tylko dziwnie samotną i opuszczoną, kierowana bezwiednem pragnieniem przytulenia się do czyjejś miłosnej piersi, wyświadczenia się z najskrytszych serca tajników...

Nie była wychowana religijnie. Nahorowie rzadko

chodzili do kościoła, chyba na wielkie uroczystości i to dla parady i ludzkiego oka, nie z wewnętrznej potrzeby; zwykle o ile nie słyszała babka, drwili wobec córki z nabożeństwa, z modlitwy, a przede wszystkim z księży. Stąd to w jej duszy zakorzeniły się wyobrażenia o religii, jako o szczególnego rodzaju czynniku wyzyskiwania ludzi przesądnych i łatwowiernych, krępującego osobistą ich wolność dla jakichś złośliwych celów. Babka, oddana zewnętrznym religijnym praktykom, bez głębszego ukochania ich istoty duchowej, niewolna od złośliwości i obłudy, nie mogła także inteligentnej dziewczynie posłużyć za wzór, jak należy w religii szukać uświęcenia uczuć i umocnienia woli ku zbożnemu życiu.

Teraz jednak poczuła Cesia nagły pociąg do tej cichej, pełnej obrazów i ołtarzy świątyni, w której ciemność, słabo rozpraszana migocącą przed wielkim ołtarzem lampą, obejmowała słodkim skrzydłem religijnego nastroju.

Oto leży na stopniach ołtarza, zapytując, dla czego innym życie snuje się, jak po różach, w radości i swobodzie, ozłoczone miłością rodziców, rodzeństwa i przyjaciół, uznaniem nauczycieli, wiarą w wartość i spełnienie dążeń: ona zaś od kolebki walczy ze złością całego otoczenia, z nie-milknącą nigdy goryczą serca, z porywami beznadziejnych tęsknot, ze zwałami przeszkód, na każdym spotykanych kroku.

Ale stopnie ołtarza milczały; wiał od nich

chłód, zionący z własnego jej zrozpaczonego serca. Poczwała, że i tu jest obcą, opuszczoną i samotną, że brak jej jakiegoś tajemniczego talizmanu zakłęb, któryby mógł otworzyć usta obrazów i ołtarzy.

Już miała wstać z ponurą i zuchwałą zawziętością, gdy posłyszała czyjeś zbliżające się kroki i ujrzała nagle przed sobą postać w zakonnym stroju.

Był to ksiądz Anioł. Co dzień o tej porze, leżąc krzyżem, modlił się za bezdomnych, zbłąkanych, zrozpaczonych, z głodu i pragnienia mrących, po więzieniach i szpitalach wijących się w katuszach ducha i ciała. I nagle wyrwał go z modlitewnej ekstazy jęk stłumiony Cesi. Więc podszedł i pytał:

— Cierpisz ?

— Sama jestem...

— A Pan Bóg ?

— Nie słyszy...

— Głupstwo ! On, woła, woła...

— Ja nie słyszę !

— Dla czego ?

— Nie wiem, pusto, nic, nic, ani słowa zmiłowania !

— Otwórz serce, tryśnie źródł łaski. Bóg rzucił w naturę ziarna wszystkiego, co do rozwoju w nieskończone wieki wieków potrzebne. Żleś szukała. Nikt że ci nie dopomógł ? Ojciec ?

— Bił.

— Matka ?

- Psuła...
- Szkoła?
- Rozumowania i wiedzy uczy.
- To potrzebne, lecz do cnoty i szczęścia nie starczy. A Kościół?

— Nie znam was, słyszysz, nie znam! Czego wy ode mnie chcecie, wełny? Nie dam się strzydz!

I pomimo przerażonego głosu księdza: Stój nieszczęsna! — wybiegła z kościoła. Tak, dosyć ma pokory! Nie wróci do rodziców! Będzie krążyła koło jego domu, wyśledzi ich kroki, zrobi skandal, oczy wydrapie tej przekłetej, zrobi coś takiego, co uwagę całego świata zwróci na jej nędzę...

\* \* \*

Około dwunastej w nocy policja, zaalarmowana przez Nahorę, znalazła ją w postawie skulonej, siedzącą w kącie muru naprzeciwko mieszkania nauczyciela, — i odprowadziła do domu.

Tu nastąpił wybuch srogiej burzy krzyków, przewisk i szturchańców ze strony ojca, otwarły się śluzy ulewnej wymowy matki i babki. Burza rozszalała na końcu w orkan, od którego brzęczały szyby, zrywali się ze snu sąsiedzi, nadśluchując i przez drzwi zaglądając do mieszkania Nahorów.

Bo też złość i cynizm dziewczyny przechodził wszelkie wyobrażenie. Na pobożne morały babki odpowiadała zuchwałem szyderstwem: — Babkę pewno Pan Bóg namaścił na zastępczynią, odkąd wyłysiała, pomarszczyła się i starła zęby?

— Jesteś zjadliwa, moja kochana wnuczko, ale zastanów się, dziecko drogie, czy cnotliwie i moralnie wychowana dziewczyna do godziny dwunastej po nocach się włóczy i wraca do domu rodzicielskiego pod opieką policyi?

— Babunia luba, gdy była w moim wieku i miała bujną grzywę, pewno nigdy w nocy nie przesiadywała w tej kawiarni, którą odziedziczyła mama?

— Za miłość i troskę jadem złości bluzgasz, jak zmija, gryziesz własne wnętrzności, jak szatan! Ale pamiętaj sobie: ta złośliwość do zguby, na zatracenie wieczne cię wpędzi!

— Och, a świętobliwa babunia w swej moralnej grozie dopomogłaby chętnie wepchnąć mnie na samo dno zgryzoty i męki!

— Ja spełniłam swój obowiązek i umywam ręce. Róbcie z nią, co chcecie! Niech się spełni kara Boża nad tą przekłętą jawnogrzesznicą! — zawołała odchodząc babka.

Podobnie odpowiadała Cesia na krzyki i indagacje ojca.

— Co wam do tego, gdzie byłam? Nazywacie mnie ladacznicą? Pewno! bo wy sami kupiliście sobie łaski boże i brojąc, co się podoba, możecie mnie wyklinać. Ojciec może odmawiać pacierze z temi tancerkami w trykotach! Mama może dekoltować się i mizdrzyć do kawalerów, a świętobliwa babunia udawać mateczkę Kozłowską! Wam wszystko, mnie nic nie wolno! Tylko na mnie

musi spaść kara boża, bo Bóg w waszem wyobrażeniu jest jak bocian, pożerający tylko najlichsze robaki; takich, jak wy, cnotliwych i grubych, nie połknie!

— Ty wywłoko, gałganie! — krzyczał oburzony Nahora, a wtórowała mu jękliwie żona.

— No dalej, prędko! — wołała córka. Do łazienki pod klucz na chleb i wodę, czy odebranie zegarka? Może do spowiedzi? Lub najlepiej kij! Proszę, tu stoi laska! Proszę!

A gdy rozwścieczony i blizki apopleksyi ojciec rzeczywiście porwał laskę — z szyderczym śmiechem uciekła i zamknęła się sama do łazienki. Stąd długo w nocy słyhać było jej gwizdanie i stukanie do sąsiedniego pokoju.

Cały następny dzień przesiedziała pod kluczem. Ale pod wieczór zaczęła jęczeć i przyrzekać poprawę. Będzie już łagodną i posłuszną, wszystkich przeprosi, byle jutro mogła pójść do szkoły. Rodzice przypisywali skruchę dolegliwościom kary, Cesia jednak powiedziała sobie, że jutro musi być na godzinie języka polskiego...

\* \* \*

W szkole zaliczano Cesię do kategorii uczniów zdolnych, ale niedbałych, roztargnionych i zuchwałych. Spaźniała się często, uczyła niesystematycznie, pozwalała sobie na uszczypliwe żarty z nauki i koleżanek. Tylko językowi polskiemu oddawała się z zapalem, zdumiewając nauczyciela

bystrością, wiedzą i niepospolitym talentem pisarskim. Bronił też jej młody pedagog pomimo złośliwych posądzeń, przy każdej sposobności w klasie, roztaczając nad nią dobrotliwą opiekę i nie szczędząc wyróżnień. Inni natomiast nauczyciele, zrażeni do żywego jej niedbalstwem i niestosownym zachowaniem się, w najlepszej wierze spełniali swe pedagogiczne obowiązki wobec uczennicy zdolnej, drwieniem, szyderstwem i zwiększoną dozą wymagań, sądząc, że w ten sposób najłatwiej skłonią ją do poprawy. Cesia jednak była przekonana, że jest ofiarą uprzedzeń i umyślnej sekatury, że się na nią wszyscy uwzięli dla dręczenia i upokarzania. Toteż znienawidziła i naukę i nauczycieli.

Szczególnym zbiegiem okoliczności zaraz na pierwszą godzinę tego dnia wszedł nauczyciel historii <sup>1)</sup>).

Zgorzkniały i zdenerwowany do najwyższego stopnia, doznawszy zawodu w jakichś ambitnych dążeniach, uważał on nauczycielskie obowiązki swoje za torturę, uczenice za utrapione zmory, szkołę za rodzaj karnego instytutu, w którym przypadła mu rola inkwizytora i prokuratora. Godzinę nauki rozpoczynał od plucia i gderliwego moralizowania, pełnego żółciowej zgryźliwości. Wszystko go irytowało: wrzawa w czasie pauzy, każdy ruch i uśmiech na godzinie, każda nad-

---

<sup>1)</sup> Sylwetka z rzeczywistości z przed 30 lat.

programowa kreska na tablicy, papierek na podłodze, — a przede wszystkim wielka liczba samych uczenic.

— Tfu, tfu! Po co się to ściąga do szkoły! Kołyski, kądzieli pilnować, placki piec, tfu, pończochy cerować!

— Do tego nie potrzeba wiadomości o wojnie siedmioletniej, ani o Sankcyi Pragmatycznej. Panna Nahorzanka przestanie bawić się kosą! Kosa nie służy do zabawy, tylko do ozdoby, jak u Chińczyków. Tfu! Proszę zaniechać robienia nogami garnków! Szkoda, że panna M. nosa i warg sobie nie kazała poprzekłuwać, jak Hotentoci, tylko poprzestała na uszach. Tfu!

— Mama kazała... — bojaźliwie szepnęła zagadnięta.

— Nie odpowiadać, gdy nie pytam! Raz już trzeba się nauczyć, że mowa nie jest tem samem, co mielenie kawy w młynku. Tfu!

Pedagog ten miał własny system dydaktyczny, polegający na powolnem sączeniu wykładu o ciężkich i sążnistych okresach, sformułowanych zwięźle i abstrakcyjnie w duchu niemieckiego podręcznika do nauki historyi powszechnej, Pütza. Wykład uczenice notowały, a wydawanie lekcyi polegało na dosłownem powtórzeniu z pamięci ostatniego dyktatu. Uchenice pilne i mechaniczną pamięcią obdarzone dawały sobie rady; lecz miały krzyż pański te, które usiłowały zrozumieć treść i oddać ją w swobodnej formie. Brnęły one zazwyczaj

w humorystyczne zawikłania, narażając się na złość, irytację i szykany pedagoga. Igrał on z taką ofiarą, jak kot z myszą, usiłował naprowadzić na tekst dosłowny, burzył się i pieniał z powodu opuszczenia każdego dopełniacza lub dopowiedzenia, po kilka razy kazał powtarzać okres nie dość wypełniony, odbiegał od rzeczy, moralizował, gromadził najdziwaczniejsze przykłady, aby okazać jak na dłoni dowód ad absurdum. Stawiał wreszcie na swoim, lecz w tej walce zawziętej doprowadził sam siebie i nieszczęsną swą ofiarę do zupełnego rozstroju; siadała ona po takiej torturze z rozpaczem zniechęceniem i obawą, że odtąd będzie zawsze przedmiotem sekatury i szykan.

Teraz, wygderawszy należycie całą klasę, wezwał Cesię do wydania zadanej lekcyi o powodach wojen perskich.

Cesia była nieprzygotowana. Jęła jednak głosem zdławionym odpowiadać:

— Grecy małaazyatyccy, tak, małaazyatyccy, zbuntowali się...

— Tfu, tfu! Korniszony, legumina, oliwa, a wreszcie pieczyste z zupą. Tfu!

— Grecy małaazyatyccy!..

— Tfu, tfu! Znowu korniszony! Proszę w spokoju zostawić Greków małaazyatyckich! Nikt nie zaczyna ubierać się od wkładania krawatki! Powody wojen perskich! Czy panna Nahorzanka słyszy? Zupełnie tak, jak objad albo ubieranie się.

Korniszony potem przyjdą, krawatka potem. Jaka była zupa? Powody!

Stała bezradna, nie wiedząc, o co chodzi, słysząc tylko, że koleżanki śmieją się, a profesor coraz więcej zżyma, złości, pieni, pluje i gderze. Wreszcie zdjęta litością sąsiadka podszeptała jej pierwsze zdanie wykładu:

— W odwiecznym antagonizmie dwóch światów, helleńskiego i perskiego, nastąpił epokowy przełom...

Powtarzała tedy:

— W odwiecznym atawizmie, tak, atawizmie dwóch światów...

— Tfu, tfu! Atawizmie! Do cerowania skarpetek trzeba także przygotowania, jak do nauki historyi. To darmo! Zupełnie tak, jakby kto zamiast »igła« powiedział »migła«, albo zamiast »skarpetka« — »perpetka«. Czemużby nie »migła« i nie »perpetka«?

Uczenice znowu zaczęły chichotać, a profesor krzyknął: Siadać! i egzaminował inne, tylko niekiedy bokiem spoglądając na Cesię pluł i mruczał: Perpetka.

Podczas pauzy złośliwe koleżanki szeptały do Cesi: »perpetka, perpetka«! Nie odzywała się nic, drgnęła tylko i zbladła, jak kreda, gdy dzwonek ogłosił koniec pauzy i początek godziny drugiej.

Wszedł młody nauczyciel krokiem, jak zwykle sprężystym i poważnie skinąwszy głową na powitanie powstającej klasy, siadł na katedrze. Nie

miał on zwyczaju odbiegania na swej godzinie od przedmiotu nauki. Dziś jednak postanowił uczynić rzadki ten w swej nauczycielskiej praktyce wyjątek, bo i wypadek był wyjątkowy. Czyniąc sobie niesłuszny zarzut, że może życzliwym postępowaniem przyczynił się do wywołania w sercu Cesi niewczesnych uczuć, zamierzał zlać ją zimną wodą. Odłożył jednak to zadanie na sam koniec godziny, uważając, że ważniejszą jest nauka. Cesia tedy przez cały czas była, jak na torturze. Wreszcie po dzwonku poprosił klasę o chwilę cierpliwości i rzekł wśród ogólnego zaciekawienia:

— Zdarzyła się w tej klasie rzecz w wysokim stopniu niewłaściwa, a niewymownie przykra, tem przykrzejsza, że mnie naraża na przekroczenie obowiązku. Nakazuje mi on użyć całej surowości rygoru szkolnego, a z drugiej strony życzliwość wobec grożącej kary ku litości skłania. Oto jedna z uczenic tej klasy poważyła się przesłać mi śmieszne i dziecinne wyznanie swych miłosnych uczuć. Oświadczam wobec całej klasy, że wybryk ten uważam za sztubactwo źle wychowanego i lekkomyślnego podlotka, a ponieważ mu nie chcę zamknąć drogi do poprawy, na tem oświadczeniu poprzestanę, nie wysnuwając dalszych konsekwencji. Proszę wyjść na pauzę, a salę przewietrzyć.

Wyszły uczenice z gwarem i szumem, omawiając słowa nauczyciela; wyszedł za nimi powolnym krokiem nauczyciel; zostały w klasie dyżurne,

a z niemi Cesia, której serce skamieniało, w głowie mąciło się i tylko jedna, jedna myśl straszna z powodzi zamglonej świadomości wydobywała się, jak śmierć, mocna, coraz mocniejsza i niezłomniejsza, opanowując wreszcie duszę. Przypadła do okna, wskoczyła na futrynę, rozerwała gwałtownym ruchem ramy szyb i runęła z drugiego piętra na bruk uliczny.

Krzyknęły dyżurne, wpadł z korytarza nauczyciel, a usłyszawszy, co się stało, porwał się obiema rękami za głowę i pobiegł na dół.

Tu zbiegowisko, zmięszane okrzyki: „głowę sobie roztrzaskała, mózg, nie żyje!“ W ruchu policja, telefon, telegraf. Po pewnym czasie w niemem przerażeniu w koło martwego ciała wszyscy stali: pogotowie ratunkowe, lekarz, dyrektor szkoły, dyrektor policji, członkowie rady szkolnej, tłumy gawiedzi.

— Nieszczęśliwy przypadek — zauważył ktoś z obecnych — czy samobójstwo? Prędzej pierwszy, trudno bowiem przypuścić, by piętnastoletnie dziewczęta odbierały sobie życie. Byłby to już doprawdy objaw krańcowego dekadentyzmu!

— Brak religijności — wtrącił inny.

— Po co długo szukać? — dodał trzeci. — Dużo do tego nie potrzeba. Zwyczajny obłęd, depresja nerwowa, dziedziczna skłonność do samobójstwa, czasem egzaltacja uczuć przy silnej dozie próżności mogą popchnąć do takiego skoku nawet

dziesięcioletnie dziecko. Najprawdopodobniej jednak mamy tu przykład fatalnego przypadku.

Za dużo jednak podobnych przypadków między szkolną młodzieżą.

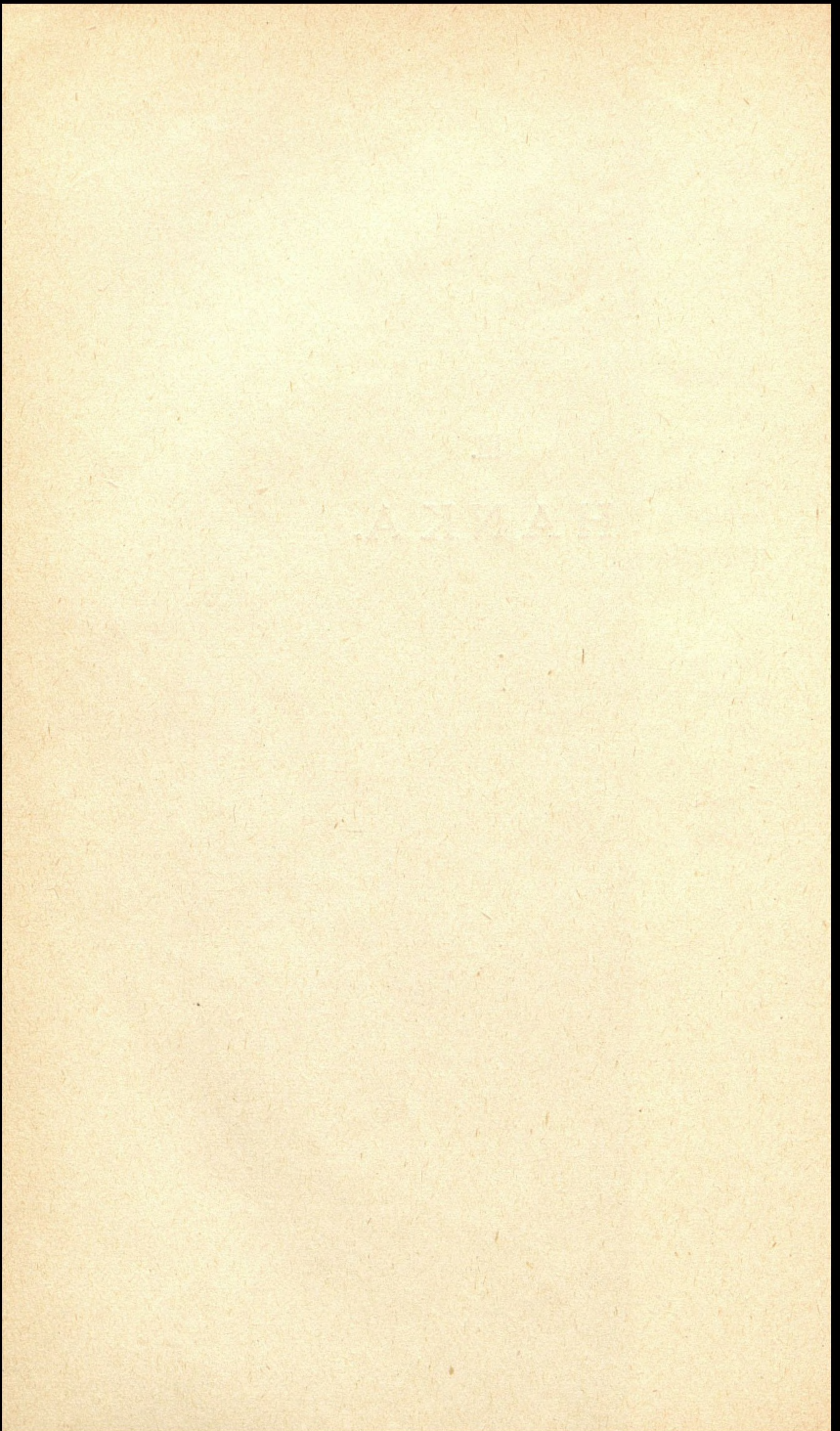
\* \* \*

Plotkami zawrzało miasto. W łamach dzienników reporterzy sypali gromami potępienia na zakład, dyrektora i całe nauczycielskie grono. Wskutek tego Cesia wyrosła na naśladowania godną bohaterkę, a pogrzeb jej na pełną mowę i kwiatów manifestację, podczas której za namową gorących dusz uczennice postanowiły urządzić strejk od nauki szkolnej.

Lecz już w roku następnym nauczyciel polskiego, zaledwo po długich poszukiwaniach zdołał przy pomocy cmentarnego stróża odszukać opuszczoną mogiłę Perpetki. Zbutwiał ubogi krzyżyk, wetknięty ręką grabarza. Za to wiatr zasiał wątłą roślinkę modrzewiu, którą kiedyś deszcz i słońce wypieszczą w urocze drzewo.

III.

HANKA.



Przyjechali letnicy — tacy ot zwyczajnie z miasta... Pan w białych kamaszkach, czapce okrągłej, koszuli kolorowej bez kołnierzyka i manszetów, pasem przepasany... widno elegant, jakiś urzędnik na urlopie, czy co. Pani, może i dobra, jeno bardzo ciekawa i wszędzie zajrzy, a wybredna taka: to szafy potrzebuje, to słoma do sienników nieświeża, cebrzyk za mały, woda w krynicy niepewna, a czy łóżka czyste, a w kuchni półki na naczynie zróbcie, a szkoda, że kociołka niema, a jakież u was ganek wążutki, a krowy czy zdrowe, a po czemu mleko i jaja, dla czego kuchnia nie bielona... Matko Boska, czego to miejskie państwo nie wydziwia! Najgorsza, że i do naszej szopy wnijdzie, wszystko opatrzy, o wszystko wypyta, dzieci po kolei musztruje: a czemu brudna koszulina, a czemu ich nie kąpiecie, jak tu u was ciemno i wilgotno, czy was nie stać na izbę, tylko tak w szopie gnieździecie się przez lato, a jaką gotujecie strawę?...

— Nam ta, powiadam, nie nowina w szopie z dziećmi przez lato spać, a do lepszego bytu my nie przywykli i dzieci mamy nie na to. — Najwięcej ulitowała się nad pokraką Hanką; szelma taką

minę żalosaną zrobiła, jakby co dobrego. Pyta, ile ma lat? Piętnaście, mówię. Aże się za głowę wzięła. Piętnaście? Taże to nieboże chudziątko, rączyny drobne, nizka mizerotka, bledziutka, wygląda to na ośmiolatkę, w zgrzebnej koszulinie, w spodnicy obłoczonej, może jeść mało dostaje, czy do szkoły chodziła, czy pacierz umie? »Proszę łaski pani nie wydziwiać i nam do garnków nie zazierać! Jaka jest, taka będzie, ludziom do tego zasie!« — powiadam, bo już mnie złość wzięła. Ale żona wygadała wszystko, jak należy. »Nie nasza, powiada, wina, że taka; choćem macocha, ale sprawiedliwa, jak mi Bóg miły. Krzywdy jej tu nijakiej. Od urodzenia pokraka, ani do roboty, ani do pacierza, ani podobna do ludzi, jako to bydle, pokarmu tylko szuka; prośbą, namową — nic z nią, ino kija się boi, ale i kijem często nie wyżenie do bydła; zwinie się w kłębek na barłogu i jęczy: bijcie, a taki nie pójdę. Dla czego nie pójdiesz, ty zatracona pokrako? Nie pójdę i nie pójdę! Widzi pani, coś ją tak najdzie, że będzie, jak to drewno, coś ją pokręci i połamie, kołtun, a może co, choć kołtuna nie ucieliśmy, uchowaj Boże, wiadomo, jeszcze by ją więcej połamało. Ludzie mówią, że się znęcam, jak zwykle macocha. Ale nie prawda! tylko przecie grzech boski cierpieć próżnowanie i nieposłuszeństwo. I ksiądz z ambony nakazuje w bojaźni bożej, pracowitości i posłuszeństwie dla rodzicieli żywić dzieci, a nie żałować różgi. Czasem to i złości biorą, wytrzymać nie mogą i wy-

biję! Wstawaj, wołam, umyj się, pacierz zmów, z krowami idź. — Nie chcę — odpowiada — nie pójdę! Taka uparta! A jeść tobyś chciała, ty szelmo jedna! I jeść nie chcę — odpowiada. I nie ruszy się przez cały dzień, do ust nic nie weźmie, pod wieczór dopiero goni między opłotki, po sadzie, po pastwisku, zaryje się gdzie w krzewinie, w głogach, w malinisku, rzepę gryzie lub marchew i siedzi do późnej nocy, czasem i przez noc, a kiedy wróci, jak jest, ani się przeżegna, tylko buch, zwali się na słomę i tak leży, jak kłoda, a rzeży. Nieraz zdechłaby z głodu, gdybym siłą mocą przez zawarte zębiska ciepłego mleka nie naląła. Nasienie złe. Dwie jej siostry rodzone, gdy podrosły, a mąż był na Saksach, zmówiły się i uciekły trzy lata temu i żadnego słyhu dotychczas. Do szkoły toć ją spisali i brali, ale nie wybyła, powiedzieli, że głupia i tak zostało. Nie umie nic, ani doić, ani pleć, ani szyć, ani prząć, ani prać, ani żąć, ani przy warzeniu strawy co pomoże, ani do posyłki zdatna, ani ziemniaka obierze, garnka nie wymyje, jedynie co jeszcze przy gęsiach, za przeproszeniem, albo krowach, za przeproszeniem, na pastwisku stać i to czasem zakryje się płachciną i śpi, a chudoba rozłazi się jako ten owad i gubi. Gdyby nie bojaźń kary, zawsze by tak. Jeno wie, że za pogubienie kij, ho, ho, i bez strawy spać. Kara boża taka pokraka! Jeszcze w skrytości powiem, w imię Ojca i Syna, chorobę wielką ta Hanka ma, chorobę św. Wita, tak, tak, proszę

pani... Jak ją złe chwyci, trzęsie, że patrzeć strach, oczy słupem stają, zębami zgrzyta, paznokciami o ziem drapie, pianą toczy i trzęsie, trzęsie... Czasem egzorcyzmy pomogą, czasem nie rychło, aż wymęczy, kał i pianę wyrzuci i precz pójdzie, a ją zostawi w odrętwieniu takim, że dobrze miną godziny, nim się dźwignie, a będzie całkiem jak lunatyczka...

A pani pyta, czy mąż wasz, mówi, pije. Uśmieśliśmy się dobrze oboje. »Czemuby nie, powiadam, jak jest ochota.« A żona prawi: »Pił ci, pił, szelma, aż się z czuba kurzyło i nieboszczkę pierwszą żonę temci, nie czem innem, do grobu wpędził, gałgan taki. Alem ja nie malowana, jak tamta, ino mocna baba, nie on mnie, jak pijany, tylko ja jego, to się strzeże i teraz dobrze. Z chłopem nie wytrzyma inaczej, a pijanyś, to nie do baby, ale spać, pijanico. Bo i prawda...«

\* \* \*

Na świerkowy płaszcz gór, na srebrną Popradu wstęgę u ich krawędzi spływa od słońca morze światła; z dali sunie pod stacyę, jak wąż, głowa lokomotywy z pióropuszem dymu, wlokąc ogon wagonów i zagłuszając sapaniem i świstem nieustanny szum rzeki. Na werandzie rodzina letników przy kawie. Pyszna śmietanka, co za poziomki, bije od nich aromat leśny, słońcem przesycone, a duże, jak truskawki... Ech, nie masz nad wieś! A jakie apetyty! Nie mogłaby ta Hanka codzien

nam takiego dzbana nazbierać? Dla czegoż Hanka? Naszeż paniątka, Staś, Zosia i Wandzia, od parady? Lecz Zosia ma pretensye do elegancyi, naśladuje ojca, chodzi na wsi w rękawiczkach i narzeka, że się opaliła, bo mama żałuje parasolki. Mama drwi i cytuje przykład z Pana Tadeusza owych szlachcianek zagrodowych, które żęły pszenicę w rękawiczkach. Ale blada cera teraz niemożna. Zawsze modna i ładna, twierdzi ojciec. Tworzą się między dziećmi dwa stronnictwa: jedno podziela zdanie ojca, drugie skłania się ku matce. Tylko najstarszy syn, Staś, szóstoklasista, milczy, słucha i krytykuje w duchu zarówno jednych, jak drugich. Gdzie niezgoda, myśli, tam prawda zwykle po środku. Najlepszy, myśli, eklektycyzm w teoryi, a w praktyce oportunizm. Czasem tedy wtrąci sceptyczne zdanie o nadmiarze owadów, twardem mięsie krowiem i podłych łózkach. Co do Hanki, prawdę mówią własni jej rodzice, że próżniak i pokraka. »Wiesz, Stasiu, woła matka, że doprawdy oburzasz mnie, bo młodemu przystałoby raczej odczuwać nieszczęście, niż wady dostrzegać«. »Ale gdy nieszczęście z wad wypływa?... — wtrąca ojciec. »Mama tak łatwo się egzaltuje« — dodaje syn. »Mama — uzupełnia ojciec, nie może zapomnieć tej sceny, kiedy w Krakowie 3-go maja całowano się dla parady z chłopami i zakupiono dla nich wszystkie loże w teatrze na przedstawienie »Nowej Dejaniry« Słowackiego. Ale matka nie składa broni. »Mówię o Hance — powiada. To

dziecko nie zawiniło swej niedoli. Jest upośledzone od losu i własnych rodziców, jest ofiarą alkoholizmu, jest wyrzutkiem przez cały świat opuszczonym i zaniedbanym; ale ma jednak serce i duszę, czuje, myśli, jak umie i przede wszystkim cierpi, cierpi... Jeżeli jej rodzice źli i ciemni, nam wstyd tę złość, tę ciemnotę naśladować, wstyd w dół spychać. Wiecież, jak było z poziomkami? Okażałam litość tej dziewczynie, odezwałam się do niej serdecznie, pogłaskałam po tej głowinie... »No, no, wiesz, wtrącił syn.« »Wstydz się!... po tej głowinie, na której pełno kołtunów z niechlujstwa, dałam jej ciasteczko i parę cukierków. Spojrzała na mnie przez łzy, a w tym wzroku tyle było uwielbienia, czci bałwochwalczej, jakiejś zwierzęcej wdzięczności, jakiegoś nabożeństwa, jak przed cudownym obrazem. Poczułam, że na jedno skinienie w ogień za mną skoczy. Pobieгла nic nie mówiąc do lasu i po pewnym czasie wróciwszy dała mi do rąk z tem potulnem, psiem spojrzeniem dzbanek pełny poziomki; gdym chciała płacić, uciekła nie wzięwszy pieniędzy. Dziś wracam z kąpieli, niosąc mokrą bieliznę, ona podbiega, całuje w rękę, bierze mi z rąk bieliznę z tem samem wymownem spojrzeniem i słowem: poniosę. Pytam, czy jest jej dobrze. »Choram, odpowiada, i źle mi.« »Dla czego ci źle?« »Matusz umarli.« »A ojciec?« »Tatusz na robocie, a jak w domu, to żalą się i gniewają, zem niezdatna.« »A coście dziś jedli?« »Był ryż na mleku, a dla mnie żur.« »To ty zawsze oso-

bno jeść dostajesz?« »Osobno albo co zostanie, ale to rzadko kiedy. Wiadomo, sierotam, to dla tego.« »A matuś swoją pamiętasz?« »O, pamiętam, dobrze pamiętam, jak dobrzy byli i umierali tacy bladzi, jak płótno, na ławie, gromnica się paliła, a potem umarli i dużo ludzi przyszło z księdzem.« »A modlisz się do matusi?« »O, modlę się codzień, żeby i mnie wzięli do siebie...« »Przecież tak ci tu źle nie jest, tylko trzeba słuchać i pracować.« »Jak mogę, to słucham, alem chora, i nie zawsze mogę, a jak macocha nie wierzą, mówią, że m pokraka leniwa i biją, tom jest gorzej psa i wolę już umrzeć, tak mi źle...«

— Po co takie stworzenia żyją... ani dla siebie, ani dla ludzi, to dla kogo i po co? — zakończył to opowiadanie ojciec.

\* \* \*

Po kilku dniach około 7 rano przybiegła do państwa kucharka z nowiną, że Hankę na poły żywą przyniosła gaździna z pastwiska do domu, przyniosła, jak snopek słomy i rzuciła w szopie na barłóg; drga jeszcze, ale mało, piana z ust jej płynie, ręce, nogi pokrzywione, sztywne, nieprzytomna. Deszcz lał od świtu; na deszcz ją macocha wygnała z krowami na pastwisko, może ją reumatyzm połamał. — Około ósmej poszła pani do szopy. Zastała macochę, naradzającą się z kumoszkami, którym złośliwym i gniewnym głosem tłumaczyła, jakim nieszczęściem w domu taka niedojda, jak

żadnej wyręki z niej nigdy nie miała; i dziś, deszcz lał, jak z cebra, krowy trzeba wygnać, mąż na robocie o trzy mile, tyle pracy w domu, kto krowy pogna? Przecież dziewczyna 15 lat, wszędzie starsze dzieci idą na pastwisko, ten leń wyleguje się. Inna wstanie, pacierz zmówi, ubierze się, idzie do roboty: ta szelma chorobę udaje. Zerwała płachtę, ściągnęła z barłogu i wygnała pokrakę z krowami. Przecie obrazy bożej w domu nie ścierpi. Nie biła, nie, jak na spowiedzi świętej mówi, niech ją tu zaraz tak jak Hankę połamię, niechaj tu zaraz skona, jeżeli kłamie, nie biła! Potem poszła dojrzeć, czy krów pilnuje. Gdzie tam! Krowy w szkodzie, a ta leży pod kolejowym mostem w kłębek, jak pies, zwinięta. Hanko, woła, Hanko! Nie rusza się. Dotyka, zeszywniała, jak kamień. Zegnała krowy, a Hankę przyniosła. Chciała jej mleka wlać przez zęby, bo wczoraj nic w usta wziąć nie wzięła, ale to darmo, ani sposób. Teraz co? Jak zawsze, powiedzą, że macocha zabiła. Taka sprawiedliwość ludzka!

Pani przekonawszy się, że dziewczyna żyje jeszcze, choć sztywna i nieprzytomna, czasem pojękuje i oddycha, kazała natychmiast posłać do sąsiedniego o pół mili miasteczka po doktora.

Gaździna aż zzieleniała ze złości. Oni nie państwo, pieniędzy na doktorów nie mają. Pewno pięć papierków zażąda. Jeżeli ma umrzeć, umrze, wola boska, a pani pięć papierków na doktora nie da, do tego na furmankę i lekarstwa. Jeszcze co no-

wego? Wymysły! Przyjdzie taki pan i zaraz obmówi, że zaraza, każe dom bielić i szorować, studnię zasypać, może i żandarmów naśle. Ona nic nie winna przecie, dziewczyna ma żyć, to będzie żyła i bez doktora, a jeżeli Bóg zechce, doktor nic nie poradzi. — Nie pomogły jednak te wywody, narzekania, płacze i całowania po rękach. Pani uparła się, wysłała do miasteczka i wkrótce zjechał doktor. Obejrzał, zalecił rozcieranie rąk i nóg, zimne okłady na głowę, pijawki pod uszami, a pani oświadczył: »Dziecko od urodzenia rachityczne, w złej pielęgnacyi, zaniedbane, źle odżywione, może zbite... Teraz w konwulsjach, życie na włosku, trzeba energicznie ratować. Ciemnota i nędza... dzieje u nas codzienne... Śpieszę, żeby przygotować i przysłać zaraz lekarstwo, bo w mieście niema apteki«.

Poszła pani dojrzeć, czy zlecenie lekarza wykonane. Ani mowy o tem! Macocha zdarła z dziecka wełnianą chustę: umrzyka chustą będzie nakrywała, jeszcze co? Nie posłała po pijawki, bo ich tu nigdzie nie kupi, ani nałowi. Okłady, to chyba na pośmiewisko ludzkie wymyślił doktor. Rozcierać kto będzie? Nie ona przecie. Sama tedy pani zaczęła robić okłady na głowę i rozcierać zimne, wychudzone, drobne ręce i nogi Hanki. Kumoszki po kryjomu uśmiechały się z tych zabiegów i zżymały ramionami w poczuciu swej wyższości i zdrowego rozsądku. Ale i panią wkrótce odwołano. Mąż jej irytował się nie na żarty. Po

co mięsza się w nieswoje sprawy? Jeszcze zawlecze między własną rodzinę jaką chorobę. Dziś uważa się każdą chorobę za zaraźliwą i nikt nie zaręczy, czy także konwulsyjna piana nie działa zakaźnie. Niechże sami sobie robią, co polecił lekarz; nie chcą, to trudno, sami sobie winę przypiszają. Zresztą czyż doprawdy nie lepiej dla tej Hanki, żeby umarła?...

Po co bo właściwie taka istota żyje? Nie dla siebie, ani dla ludzi, więc dla kogo i po co?

Wreszcie doktor przysłał lekarstwo, ale już po niewczasie. Hanka umarła, nie odzyskawszy przytomności. Rozeszła się po całej wsi wiadomość o śmierci sieroty, zaczęli sobie ludzie na ucho szeptać o złej macosze, o upośledzeniu dziecka, o skatowaniu... Nadchodziły baby jedna po drugiej, oglądały, kiwały głowami i odchodziły, a macocha siedząc na progu od czasu do czasu zawodziła kłamliwym płaczem i skargami na nieszczęście.

Przesadne wieści szerzyły się i wyrastały do potwornych rozmiarów. Już wręcz oskarżono macochę o zabicie sieroty. Pod noc przyszedł podchmielony pisarz gminny z żandarmem dla spisania protokołu. Jak się nazywacie? Skąd rodem? Ile lat? Ile dzieci? Jaki stan, zawód? Kiedy dziecko zmarło? Kilka godzin od śmierci, a ciało leży na słomie, w szopie, niemyte, bez świecy, bez krzyża, w brudnej i podartej odzieży, jak cygańskie bydle, nie wstyd wam, gazdom? Sponiewieranie zwłok, dziecko widno zabite! Posypały się usprawiedli-

wienia, opowiadania, zaklęcia, przysięgi i narzekania macochy. Żandarm zapisał, rzucił groźnie: »Będzie dyssekcyja i sąd« i poszedł. Trwoga padła na macochę, zajęła się nieco zwłokami, zaświeciła łożową świeczkę, posłała po męża. Na drugi dzień znowu żandarm, od czasu do czasu kobiety ze wsi z ciekawości, jeszcze doktor dla sprawdzenia zgonu. Pogrzeb naznaczono na dzień trzeci.

A pani wysłała swoje córki, ażeby nazbierały kwiatów polnych i uwiły wieniec dla Hanki pokraki. Posłuchały dziewczęta i uwiły wianek z dzwonek i bławatków błękitnych, z dzikich powojów, dojrzałych kłosów żyta, gwiazdek rumianku przydrożnego i złożyły na drewnianej trumience Hanki.

Zżymał ramionami pan i powtarzał pytanie, po co i dla kogo ta pokraka żyła, a szóstoklasista panicz mruknął przez zęby: »Mama zawsze romantyczna!«

Faint, illegible text at the top of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

Second block of faint, illegible text in the upper middle section.

Third block of faint, illegible text in the lower middle section.

IV.

KTO WINIEN?

IV  
KTO WIEN

Opowiem dzieje pewnego chłopca — zaczął ks. Faustyn — syna czcigodnych, niedosyć jednak może inteligentnych rodziców, a wy sobie później diskutujcie i wysnuwajcie wnioski.

Przed laty piętnastu, gdy świeżo zamianowany katechetą gimnazyjalnym mieszkałem we Lwowie przy ulicy Czarnieckiego, słyszałem kilkakrotnie dochodzące z sąsiedniego mieszkania dziwne hałasy: jakiś głos męski, gwałtowny i gniewny, jakieś kobiece jęki i narzekania, wreszcie płacz, przechodzący stopniowo w dzikie rżenia i zwierzęce ryki, które wydobywały się, o ile mogłem rozpoznać, z gardła i płuc wyrostka mniej więcej piętnastoletniego.

Sceny te powtórzyły się już kilka razy w nierównych odstępach czasu i o różnych porach, niekiedy nawet głęboko w nocy. Nerwy miałem mocne, jednak nie mogłem tego wytrzymać. Zaraz po pierwszym wypadku dowiedziałem się od dozorczy domu, że sąsiednie mieszkanie zajmuje rodzina kancelisty sądowego, złożona z rodziców i pięciorga dzieci; jeden syn uczęszczał na uniwersytet; córka — na trzeci rok seminarium nauczycielskiego; dwóch innych — do 6-ej i 7 klasy

gimnazjalnej; najmłodszy wreszcie chłopak, lat 14, »lampart« i »nicpoń«, był zajęty w rzemiośle. Tego to lamparta i nicponia operują od czasu do czasu za jakieś gałgaństwo...

— Jakto operują? — zapytałem.

— Ot, jak? Zedrą spodnie — za przeproszeniem — i walą, czem popadnie, paskiem, lagą; raz starszych paniczów nie było, to mnie pan zawołał do pomocy, bo się ta bestya broniła nogami, zębami i paznoktami; tośmy go razem z panem i panienką godnie zharatali, że dobrze parę dni poleżał. Wiadomo, po ludzku i uczciwie trzeba było, żeby na człowieka wyszedł.

— I nie wiecie, za co go tak biją?

— Czemubym nie wiedział? Ale to jest tak. Prosili mnie, żeby nie rozpyskować, bo rodzina uczciwa jest, a chłopcu szkodzić nie życzą, że to niby uda się jeszcze wypędzić mu te złe homory i będzie, jak się patrzy. Ale ja se myślę, że gruszki na wierzbie. Bo jak się taka psio bestyja do uczciwej rodziny zapłacze, to przepadło: nie wybije, nie wygłaszczce i nie wymodli. Rodziców pięknie do grobu jucha zapędzi i sama gdzie w lochu zmarnieje. Na to rady szukać, jak na piasku siać i orać. Ja księdzu, jak na spowiedzi, niby w skrytości wielkiej powiem: ladaco wierutne jest, wszędzie, gdzie nie trza, wlezie, nawet smród — za pozwoleniem — do dziwek już się łasi, w żadnej pracy nie wysiedzi, a co najgorsze kradnie na umor. Ot, dopust Boży i tyle!

— A jacyż rodzice?

— A, nie ma co mówić, co prawda, to prawda, uczciwi są, honorni, stateczni i z rodu nie bylejacy: jego, niby pana, jeden brat jeździ ci powozem, widać sobie pan wielki; drugi krewniak jakiś, jej podobno swojak, radca, nie żaden chudopacholek; inny jest księdzem. Co prawda, to prawda. Ona żadnego dnia mszy świętej nie minie, a co przyjdiesz, to się na książce i koronce modli.

Te szczegóły jeszcze mocniej mnie zaciekawiły. Postanowiłem, ile zdołam, pomódz nieszczęśliwym. Jakby to zrobić jednak, aby niezgrabnem natręctwem drogi sobie odrazu nie zatamować? Ran własnych nikt chętnie nie odsłania, a tego rodzaju rzeczy więcej, niż cielesne rany. Gdym tak kiedyś w nocy rozważał w łóżku, a miałem je tuż przy cienkiej ścianie sąsiedniej, zaczęła się tam znowu ta przykra, bolesna scena.

W pierwszej chwili zerwałem się i chciałem uciekać, — wstyd mi było skrycie wdzierać się w cudze tajemnice. Pomyślałem sobie jednak, że byłby to egoizm i jeżeli rzeczywiście mam cokolwiek w ich nieszczęściu pomódz, winienem korzystać ze sposobności poznania 'szczegółów u samego niejako źródła. Tedy podsłuchiwałem, acz się tem wogóle brzydzę, jako czemś zgoła nikczemnem i trywialnem. Ponieważ jednak, Bóg mi świadkiem, czyniłem nie z płochych pobudek ciekawości, nie wstydzę się przyznać.

Scena była nad wyraz przykra.

— Przyznaj się — wołał ojciec — tyś wziął relikwiarz? Coś z nim zrobił? Przyznaj się, bo cię na kwaśne zbiję jabłko!

— Co się mam przyznawać, kiedy nie brałem!

— Nie brałeś? Nie brałeś!? Może tak samo nie brałeś, jak z kieszeni stryja tego pugilaresu, pamiętasz, albo jak matczynej broszki, albo jak książek Władka? Kto brał, jeżeli nie ty, ty, nasze nieszczęście, nasza hańba, nasza kara Boża, ty — o o o!

— Już mnie doprawdy złości biorą, gdzie co złego, zawsze ja winienem. Nie brałem! Nie brałem! Nie brałem!!

— Nikt inny, nikt, tylko ty! Sług nie mamy, a z dzieci naszych żadne nie spodliłoby się takim czynem. Boże, Boże, Boże! taki wstyd, wolałbym umrzeć, taki upadek! Ooo!

I słychać było do głębi duszy przejmujący płacz ojca, któremu żałościwe przez łzy i szlochania towarzyszyły skargi i modlitwy matki:

— Matko Boska! Matko Najświętsza! do tegoż to już doszło, takie świętokradztwo, podarunek ślubny mojej nieboszki matki z relikwiami świętych. I tego nie uszanował i to sponiewierał, splugawił! Dlaczego, na co! Dla obrzydłej jakiejś uciechy! I to dziecko, które własną piersią wykarmiłam, własnymi rękami wykołysałam, teraz w te piersi i w te ręce kąsa, jak zmija... O o o!

— Więc jak Boga kocham, no może mi teraz

uwierzycie, że nie brałem, mówię, i nie wiem, co się z tym relikwiarzem stało!

— A ty gałganie jeden, łajdaku, wisielcze, ty złodzieju, myślałem, że się skruszysz i pożałujesz, że może twój żal da przynajmniej słabą jaką nadzieję poprawy, a ty jeszcze krzywoprzysięgasz? Patrz, co to jest?

— No, więc czego pytacie, kiedy jest, po co ta cała komedia?

— Ja ci tu zaraz dam komedyę! Sprzedałeś u Holzknechta, wczoraj, o 9-tej rano, dostałeś za to 20 koron. Kara cię nie minie, łajdaku! Muszę karać, rozumiesz, muszę! Serce mi pęka, ale dopóki żyję, dopóki ręką władam, będę karał, żebyś się opamiętał, żeby cię ludzie kiedyś nie karali, żebyś gałganie w lochu nie gnił. Coś zrobił z pieniędzmi? Przyznaj się. Tylko szczerem przyznaniem i skruchą zmniejszyć możesz karę!

Zdaje się, że pod wpływem strachu przed karą zmiękł nagle, słyhać bowiem było łzawe błaganie o litość i przebaczenie.

— Darujcie mi jeszcze ten raz, już nigdy więcej, nigdy, nigdy, nigdy więcej, darujcie, uroczyście przysięgam, nie będę...

— Co z pieniędzmi zrobiłeś?

— Roztrwonilem!

— Roztrwonileś? O! A na co?

— Na różne łakocie, dorożkę, dług oddałem koledze, potem poszliśmy na Pohulanę na kolację...

— Odkupiłem relikwiarz, najdroższą świętość naszej rodziny. Ale tobie płazem nie mogę tego puścić, bo bym za to sam przed Bożym sądem odpowiadał. Już tyle razy mi obiecywałeś, nie dotrzymałeś nigdy. Nie myśl sobie, że takie sprawy bezkarnie uchodzą. Antek, Władek, chodźcie, trzymajcie, rozbieraj się, kładź się!

I zaczęło się szamotanie, płacz matki, wrzaski i przeraźliwe krzyki smaganego. Kara zrazu moralnym oburzeniem i poczuciem odpowiedzialności wychowawczej zaczęta, przeradzała się w jakąś wstrętną i zwierzęcą orgię okrutnego rozpasania i jak każda zwierzęcość wywoływała ohydne klątwy tego, którego winna była przejąć skruchą. Złorzeczył, wył, krzyczał karczemnymi wyrazami: „Bodaj was zaraza wygubiła, przestańcie bić, dyabli“... a te klątwy straszliwe, bo z ust dziecka ku rodzicom skierowane, wtrącały ich w jakąś wściekłość zapamiętania się i rozbestwienie okrucieństwa. Ze wstrętem i zgrozą zatkałem sobie uszy i gdy się — acz nie prędko — uspokoiło, całą bezsenną noc rozmyślałem nad oplakanyim losem chłopca, nad niedolą rodziny tej, nad rozpaczliwymi środkami, których się chwycił pożałowania godny ojciec.

Pragnąłem przedewszystkiem dowiedzieć się w jakiś sposób, czy sprawa nie jest beznadziejna, czy mianowicie chłopak nie jest psychopatą kleptomaniem. Przypadek mi ułatwił. Po nazwisku rodziców doszedłem, że jeden z ich synów, Wła-

dysław, jest moim uczniem w klasie VII-ej, pilnym, spokojnym, porządnym. Zacząłem Władka zapraszać do siebie na pogawędki, wzbudziłem ku sobie więcej, niż zaufanie, bo przywiązanie i wiele szczegółów od niego dowiedziałem się. Ów nicpoń Stefan, najmłodszy w rodzinie, był istotnie ziółkiem, co się zowie. Matka psuła go zrazu i pieściła, jak to często nieopatrzone matki czynią z ostatniem dzieckiem. Zdolny, fizycznie nad wiek rozwinięty, ale jak siarka zapalny i gwałtowny, trząsł całym domem. Wszystko mu wolno było. Ojciec do biura, on na podwórze, gdzie uganiał z gromadą malców, lub na miasto, gdzie błąkał się, Bóg wie z kim i za czem. Wszędzie rej wodził, wszystkim ulicznikom imponował pomysłowością, śmiałością i sprytem. Zanim poszedł do szkoły, zatem już przed siódmym rokiem życia, zaczął prawdopodobnie nie szanować cudzej własności, a co zawsze z tem w parze idzie, kłamać. Jak zwykle, pierwsze potrącenie wyszło od łakomstwa, spotęgowanego zapewne niedostatecznem i do potrzeb organizmu niezastosowanem pożywieniem. Ubogi kancelista, obarczony pięciorgiem dzieci, musiał się ograniczać w wydatkach i szczerdzić nawet żywności. Za to za nic w świecie nie zaniechanoby urządzania parę razy w roku uczt hucznych z nadmiarem drażniących podniebienie słodocy, które tem większą wzbudzały pożądlwość, im rzadziej były podawane. Cukier, wydzielany skąpo, skrzętnie i nieufnie pod klucz za-

mykany, był dla łakomego chłopca ponętą nie do przewyciężenia. Przychwycony kilkakrotnie na dobieraniu się do niej, ukarany od razu nazbyt surowo i mianem domowego złodzieja napiętnowany, pogodził się z wolna w duchu z tą sytuacją, usiłując tylko zadowalać swój popęd łakomstwa sposobem coraz przebieglejszym i skrytszym, aby nie dać się złapać i jak najstaranniej zacierać po sobie wszelkie ślady.

Smaganie, obrzucanie mianem złodzieja, unicestwiło, upokorzyło, przygnębiło w zarodzie ziarna ambicyi i godności własnej, rzucając w młode serce jad nienawiści, zawziętości i skrytości. Na dziesięć sprawek raz tylko na gorącym schwytany uczynku, śmiał się i cieszył w duchu, że tyle razy uszło bezkarnie. niesprawiedliwe zaś i tylko na poszlakach oparte podejrzenia pouczyły go, że także rzeczywista kradzież może wydać się niesłusznem posądzeniem, toteż jak wirtuoz miewał w zanadrzu coraz więcej biegłości w wykrętach. Od łakoci poszło do pieniędzy, których wartość rychło poznał. Podbierał, gdzie i jak mógł: to z zapomnianych na komodzie przez matkę uszczknął nieco, to posłany po kupno, zaoszczędził odrobinę we własnej kieszeni, to wreszcie począł układać całe plany zdobyczy i zacierania śladów, sięgając nawet do kieszeni płaszców, zawieszonych w przedpokoju przez gości. W szkole normalnej uczył się łatwo i dobrze, ale zaprzyjaźniał tylko z urwiszami, wdając się z nimi w ty-

siące konszachtów, w pożyczki, handle, gry w pióra lub zielone, w wyludzenia, kupna i sprzedaże ołówków, rączek i książek, w awanturnicze wyprawy do owocowych sadów, do kolejowych magazynów i któżby tam wreszcie wyliczyć mógł te wszystkie pomysłowe zabiegi o grosz dla zadowolenia rosnących potrzeb. Bo już nauczył się skrycie palić papierosy, a w doborze cukierków, czekoladek, owoców stawał się coraz wybredniejszy. Szkoła normalna nie wykluczała wówczas, więc ją skończył, acz ze złą notą z obyczajów. Gorzej poszło w gimnazjum. Już w klasie pierwszej po kilku miesiącach dyrektor wezwał ojca na poufną naradę i zaproponował zabranie chłopaka, który się skompromitował sprzedażą pożyczonej książki. Po karach, zaklęciach, morałach — groch na ścianę — oddany do innego zakładu, wytrwał rok, przeszedł do klasy drugiej, niestety przyłapany na jakiejś malwersacyi ze składkami, umknął sam przed formalną ekskluzyą. Odtąd zaczęła się istna odyssea. Był parę miesięcy u szewca, dwa tygodnie w gorzelnii, rok w szkole realnej na prowincyi, wykluczony, poszedł wreszcie do stolarza. Zabierał rodzicom z domu co mógł, książki, biżuteriye, jakieś stare z dziada z pradziada na dnie kufra przechowywane numizmaty, wreszcie wiszący nad łóżkiem matki wielki relikwiarz w srebrnej oprawie.

Otrzymawszy takie szczegóły, doszedłem do przekonania, że sprawa była mocno spóźniona, ale może jeszcze nie stracona. Nie wiele mogłem

pomódz, jednak za pośrednictwem brata ściągnąłem tego urwisza do siebie i utrzymywałem jego wizyty ponętą łakoci. W rozmowach, tak niby od niechcienia przypadkowych, wdzierałem się powoli do tego zatwardziałego sumienia, ostrożnie, czasem żartobliwie roztrząsałem je i rozbudzałem. Stanowczo kleptomaniem nie był, raczej naturą dziwnie, niepomrotnie zmysłową i lekkomyślną. Całem postępowaniem starałem się podnieść go na duchu, dać do poznania, że cenię wysoko jego zdolności umysłowe, namawiałem do częstych spowiedzi, pożyczalem do czytania książki, zachęcałem do wytrwania w stolarce i do kształcenia się. Szło to, szło, ale powoli, złe nałogi bowiem często przeważały i wtenczas nie pokazywał się u mnie tygodniami. Tak minęły dwa lata; trzymał się jakoś w stolarce, zmężniał, wyrastał na kształtnego, silnego chłopaka.

Nagle ulotnił się gdzieś i zawieruszył, jak kamfora. Nikt nie wiedział, co się z nim dzieje, nawet policya nie umiała go wykryć. Niezawodnie sprawa kobieca, pomyślałem. Minęło jakie półtora roku, zjawił się u mnie znowu. Elegant, wąsik podkrecony, smoking, grzywka rozdwojona, lakiery... Pytam, gdzie był, co robi?

— Et, widzi ksiądz, wylał mnie cham stolarz. Zresztą nie żałowałem. Co to za karyera? Zwiezłem kawał świata na fryzyerce i agenturze. Dobrze mi było. Ale znudziło się. Zateęskniłem za starymi i jestem.

— Cóż będziesz robił?

— Mam zamiar oddać się pisarce w kancelarii stryja. No, nie myślę gryzmolić całe życie, ale przyrzekłem starym ustatkować się.

— Czas już wielki!

— Cóż znowu, czas wielki! Czym to trup? Zamierzam uczęszczać na uniwersytet jako nadzwyczajny słuchacz, zdawać egzamina i wykierować się na adwokata. Mam głowę i wymowę, zrobię majątek.

— Zmizerniałeś okropnie na włóczędze.

— Cóż dziwnego? Psie życie, podły świat i ludzie na nim. Różnie było, nieraz brakło kawałka chleba, ale też i szampitra dorwałem się czasem. Przynajmniej żyło się, nie gnęło w jednym miejscu, jak kłoda, jak filistrzy, burzuje, psia krew! Teraz basta do czasu. Muszę iść na razie torem zwyczajnych zjadaczy chleba, ożenić się, ognisko domowe, et cetera...

Ten lekkomyślno-blagierski ton, to zachowanie się i ruchy jakieś zgniłe i bezczelne przejęły mnie wstrętem i smutkiem; przeczuwałem, że teraz naprawdę stracony.

— Dajno mi, Stefku, rękę, patrz mi w oczy; w imię naszej dawnej przyjaźni przyznaj mi się, bratku; prawda, że cię uwiodła jakaś lafirynda, ciągnęła za sobą i teraz na pasku tu trzyma?

— No, już ksiądz znowu z morałami wyjeżdża! Że też wszyscy uwzięli się mnie nawracać. Mam już tego po uszy.

— Z przyjaźni pytałem, nie dla nawracania.

— Więc nie lafirynda żadna, jak się ksiądz wyraża. Nikomu nie pozwolę jej obrażać; kocham ją; jedyna na świecie istota, która mi serce okazała.

— Pobierzcie się.

Parsknął śmiechem.

— Jużśmy się pobrali, a ślub niemożliwy, bo ma tam jakiegoś męża w Ameryce.

— O, wielka szkoda — zawołałem z żalem — bo już teraz nic cię nie ocali!

— E, nudzi mnie, jegomość, żegnam! — zawołał dziwnie zirytowany i wybiegł.

Więcej się u mnie nie pokazał. Dowiedziałem się potem od brata, że kilka tygodni był w szpitalu na oddziale chorób skórnych; odsłużył dwa lata w wojsku, sprawkami swemi ojca wpędził do grobu, rodzinę ciągle zarywał i zniesławiał. Nigdzie nie wytrwał dłuższy czas. Wreszcie u jakiegoś adwokata coś grubiej przeszkrobał i dostał się przed kratki sądowe. Byłem z ciekawości na rozprawie i na całe życie utkwilo mi w głowie to, co mówił w sądzie z jakąś furią złości, szyderstwa i nienawiści: »Tak, zamknijcie mnie, jak psa wściekłego, bo będę dalej kradł, zabijał i podpalał. Zamknijcie! Byłem dobry i stałbym się był użyteczny, gdybyście wszyscy nie starali się psa wściekłego ze mnie zrobić. Wy, wy wszyscy podli burzuje! Postępowaliście ze mną, jak ze zwierzem. Ojciec, matka, bracia, nawet siostra znęcali się i bili, jak kaci. Gdy tonąłem, nikt ręki nie podał, nikt, nigdy,

wszyscy pchali w topiel. A, tylko ci sami, którzy płaszczyli się, jak węże, ci mogli wyprawiać orgie, panoszyć się, kraść bezkarnie, podłości różne popełniać, byle ludziom świecić w oczy obłudnym świętoszkostwem. Zrobiliście ze mnie sami złodzieja, bezdomnego włóczęgę, zakaziliście swoim jadem, teraz depczcie nogami, zabijcie lub powieście na szubienicy.\* Wszystkie te tyrady przerwał wreszcie sędzia suchem odebraniem głosu. Poszedł na dwa lata. Co się z nim potem stało, nie wiem.

\* \* \*

Skończył ksiądz Faustyn. Zapanowało milczenie, które wreszcie przerwał profesor:

Wcale znaczny procent młodzieży w podobny sposób idzie na bezdroża i marnieje. Ileż to pamiętam konferencyi dyscyplinarnych, które omawiały różne zbrodzenia moralne uczniów! Do prawdziwych bolączek należą rzeczywiście kradzieże, a także zwyrodnienia seksualne i popędy włóczęgowskie, rosnące na tle alkoholizmu i różnych skażeń życia miejskiego z bilardem, piwkiem, papierosami, kartami, nocną awanturką... Wszystko to idzie z sobą w parze. W tych sprawkach musi się podnieść rękę za ekskluzyą, dla przykładu odstraszającego i ochrony innych, choć z tem przeświadczeniem, że ekskluzya nie ulecza błądzącego, lecz na dalsze bezdroża wpędza. Cóż począć? Wszędzie są szumowiny, a u nas nie więcej, niż

gdzieindziej. Szkoła nie może być szpitalem patologicznych, ani domem poprawczym.

— Ale obowiązana jest wychowywać — wtrącił ks. Faustyn.

— Tak, wychowywać, wpływać na indywidualizm i t. d. Znane nam są owe komunały, za pomocą których zwałamy na siebie wzajemnie winę. Mam jednak to głębokie przeświadczenie, na długoletniej obserwacji oparte, że szkoła nasza nie może, jakby należało, wywiązać się z zadania swego wychowawczego, już to z powodu przepełnienia, już z innych przyczyn od niej niezależnych, w które tu głębiej wnikać nie będę. Indywidualizowanie jest postulatem niemal utopijnym dla nauczyciela, uczącego w czterech klasach, z których każda liczy po 50 uczniów!

— Czy jednak szkoła nawet w takich, jakie są, warunkach nie mogłaby więcej wpływać na uczucia i wolę młodzieży, jest pytaniem zastanowienia godnem. Sam formalizm wiedzy bez twórczego zapału, bez natchnienia uczuć, bez tego nacisku ku wydobyciu z każdego przedmiotu wiedzy pożywnego dla duszy i życia ziarna, który wypływa z wysokiego poczucia pedagogicznego posłannictwa — bywa nie tylko jałowym, lecz wprost szkodliwym. Wolę uczciwego nieuka, niż uczonego szubrawca. A któż o tem nie wie, że nadmiar wymagań szkolnych, terroryzmem not zaostrzony, życzliwością nauczyciela i żarliwą jego chęcią nauczania w szkole niezłagodzony, wywołuje po-

chop do owych znanych każdemu sztuczek, podstępów, wykrętów, udawania, podpowiadania, odpisywania, oszukaństwa... Są to małe podłostki, za pomocą których słabsi usiłują przejść z klasy do klasy, a leniwi uniknąć pracy. Sami rodzice dla ratowania promocyi swych dzieci nie wahają się często okłamywać nauczycieli, chwytają się protekcji, błagania o względy, wpajając w serca nieletnich wiarę w doniosłość swych wpływów, przekonanie o niesprawiedliwości, uprzedzeniach, sekaturach profesorów. Atmosfera kłamstwa rozluźnia hart sumienia, które stopniowo godzi się nie tylko na oszukaństwo, na mały szantaż, ale w danych warunkach wreszcie zgodzi się na podłą i trywialną łapówkę i kradzież. Z drugiej strony zbytne złagodzenie szkolnych wymagań, tolerowanie lenistwa, niedbalstwo i brak wzorowego przykładu w spełnianiu obowiązków ze strony samych nauczycieli nieraz może wpływ gorszący wywiera. Sam znałem takich, którzy klasyfikowali nieprzełądane zadania, kazali uczniom wypisywać na zeszytach nieprawdziwe terminy zadań, absentowali się w szkole, polecając uczniom tak cicho siedzieć w ławkach przez całą godzinę, by nie wykryła się nieobecność nauczyciela...

— Wyjątki są wszędzie — zauważył profesor — lecz nigdzie tak łatwo nie bywają generalizowane, jak odnośnie do nauczycieli i szkoły. A tymczasem w duszę dziecka i ducha szkoły wsiąkają wszystkimi porami zalety i wady prze-

dewszystkiem samego społeczeństwa. Rodzina buduje pierwsze i najważniejsze podwaliny charakteru swoich dzieci. Proszę no spojrzeć na owych spacerujących po rynku i miejskich plantach siódmo-klasistów. Spodnie w klosz, buciki żółte lub lakiery, mundurek nie podobał się mumusiom i ciociom skromny, przepisowy, więc nakazały skroić go do stanu i ustroić na piersi ułańskim szemrowaniem, a z tyłu błamem futerka; nawet gorsety noszą niektórzy! Czapka naśladuje krojem oficerską — wbrew przepisom szkolnym, a babcia ciesząca się i powtarzająca przy każdej sposobności, że wnuk jej przystojny i szykowny, wyszyła ją własnoręcznie wzorzystą morą. — Jak to — wołają oburzone — pan dyrektor zabronił mory i błamów?

— Zabronił — odpowiada — to głowa ciasna i bez polotu, niezdolna do zrozumienia uczuć młodzieży! — Istotnie — dodają zgorszone — śmieszny pedantyzm, dziwna sekatura. Takie drobnostki!

Nie przewidują, że ta próżność, którą rozwijają w chłopcu przykładem i zachętą, urośnie, wniknie we wszystkie jego myśli, uczucia i czyny, zabarwi popędy i oddziała na cały charakter, prowadząc do coraz grubszych podłostek. A życie nad stan? A uważanie codziennej pracy za przymus, utrapienie, powód do ciągłych narzekań? A szukanie synekur i karyery? A protekcyjnalizm i nepotyzm? A pogoń za zmysłowem użyciem? A straszliwy i powszechny obskurantyzm w zakresie pedagogicznej wiedzy?

Nie szkoła na złodzieja wykierowała owego Stefana z opowiadania księdza, lecz rodzina i społeczeństwo. Podobnych ojców, ludzi bogobojnych, którzy nie troszczyli się zawczasu o wychowanie syna, a po niewczasie świętem przejęci oburzeniem naprawiali go biciem, możnaby znaleźć nietylko między kancelistami, lecz także radcami. Oczywiście zapytać przedewszystkiem trzeba, czy tego miłego Stefana wogóle w najidealniejszych nawet warunkach można było wychować na porządnego człowieka.

— O! o! o!!—rozległy się jednozgodnie głosy zdziwienia i protestu ze strony wszystkich zebranych, a najgłośniej protestował adwokat:

— Co też wygaduje ten pedagog! Nie ulega żadnej wątpliwości, że można było.

— Pozwolę sobie powątpiewać — odrzekł profesor. Ksiądz Faustyn twierdzi wprawdzie stanowczo, że Stefan nie był psychopata. Ale ściśle granice między pojęciami odpowiadają rzeczywistości natury tylko w pewnych wyraźniejszych stopniach; natura w swych zjawiskach nie zna zupełnego, idealnego rozdziału, jak go nie zna między niektórymi zwierzętami i roślinami. Stefan nie był zapewne zdecydowanym, wybitnym typem kleptomana-maniaka, jak owe kobiety paryskie, które chodzą po magazynach i kradną bez żadnego celu, tylko pod wpływem manii, a potem nawet nie wiedzą, że kradły, gdyż czyniły to jakby w lunatyzmie. A jednak jakieś skłonności i czę-

ściowe zboczenia kleptomańskie w nim były, bo inaczej trudno byłoby wytłómaczyć, dlaczego innym jego braciom ani się śniło naruszać cudzej własności, on zaś ciągle pomimo srogich kar padał w recydywę.

— Nie pomimo, lecz wskutek kar — odezwał się ks. Faustyn. Co do innych, Pan Bóg tam wie i może spowiednik, jak było z początku i czyby podobnie, jak Stefan, nie postępowali, gdyby nie ochroniły ich jakieś szczęśliwe okoliczności. Nie macie państwo wyobrażenia, jak w naturze ludzkiej kruchem jest poszanowanie cudzej własności i jak pouczającego na to twierdzenie dowodu mógłby dostarczyć konfesyonał, w szczególności zaś spowiedź dzieci niedość inteligentnie wychowanych.

— Chodzi o stopień złej skłonności — odparł profesor. U innych była zapewne tak nieznaczna, że w grę nie wchodzi, bo ją najłżejszy wpływ przygłuszył; u Stefana, acz nie przerodziła się w wyraźne zboczenie maniackie, była — może — tak silna, że okazałyby się nadaremnyymi najtroskliwsze i najinteligentniejsze zabiegi, zwłaszcza, że wyrastała na tle innych podpór ujemnych: gwałtownych popędów cielesnych, lekkomyślności, zmienności i mielizny uczuć. System Russa, oparty na wierze w pierwotną czystość natury ludzkiej okazał się dawno wątpliwy. Skłonności wrodzone dziedzicznie, pewne skoki atawistyczne zbyt często urągają wszelkim wysiłkom pedagogii.

— Od dawna śledzę naturę dzieci w naszych

szkołach ludowych, ozwała pani Z. — choć starą przecież nie jestem, i przekonałam się, że kradzieży, tak niestety częstych w szkołach miejskich i podmiejskich, dopuszczają się prawie wyłącznie dzieci w domowym wychowaniu zaniedbane i opuszczone, a jednak zakażone wyrafinowaniem pożądanem zmysłowego użycia. Włociańskie — a byłam trzy lata nauczycielką w zapadłej wiosce — wychowane skromnie, niekuszone ponętami różnych rozkoszy, otoczone przykładami szczerości, prostoty, bogobożności, tradycyjnych cnót domowych, a przede wszystkim pracy — rzadko okazują się skłonne do kradzieży, uważanej na wsi powszechnie za grzech ciężki i hańbiący. Przeciwnie miejskie i podmiejskie. Te często bywają rozlampartowane, opuszczone, przyzwyczajone patrzeć, jak się w domu nogami depce i z kpinami poniewiera wszelkie pojęcia obowiązku i porządku, moralnej powagi i cnoty, jak się ciągle chodzi z głodem niezaspokojonych nigdy, a zawsze wygórowanych pożądań, jak się bez opamiętania i miary hula, gdy chwilowo jest za co, a narzeka na czem świat stoi i hańbi, gdy w kieszeni pustki. Takie dzieci bez wychowania przychodzą często już do klasy pierwszej z gotowym nałogiem kradzieży i są prawdziwym utrapieniem szkoły. Wnoszę z tego, że dla ochrony dziecka przed tem szkaradnym zbroczeniem nie jest konieczna ani bardzo wszechstronna inteligencja, ani wyrafinowana duchowa kultura, ani wielkie bogactwo;

a także wnoszę, że nie wrodzone do kradzieży usposobienia są najniebezpieczniejsze i najczęstsze, lecz nałogi nabyte. Złodziej chyba rzadko rodzi się ze złodziejskim popędem, zazwyczaj wyhodowaliśmy go sobie sami. Myślę, że i ów Stefan był taki.

— Zupełnie podzielam to zapatrywanie — zawołał adwokat. Nie zaprzeczy nam skory do ekskluzji profesor arystokratycznego gimnazjum, że głównie i przedewszystkiem wychowawcze warunki życia wytwarzają często już w dzieciach niezdrowy apetyt zmysłów, pobudzający do różnych zbroczeń moralnych.

Co się tyczy owych sfer podmiejskich i miejskich, o których mówiła poprzedniczka, to ostrzegabym przed uogólnianiem. W każdej sferze i w każdym stanie zdarzają się wypadki, że rodzice, zajęci poza domem, mało troszczą się o wychowanie swoich dzieci. W ten sposób najniedorzeczniej marnotrawią własną pracę. Łatwiej usprawiedliwić taką nedorzeczność ciężko na kawałek chleba razowego pracującemu wyrobnikowi dziennemu, niż owej cywilizowanej, eleganckiej, w dobrobycie opływającej żonie bankiera, kupca, przemysłowca, rentiera i t. d., która w pogoni za rozrywkami lub z nałogowego lenistwa rzuca wychowanie dzieci na kaprysy losu, na łaskę i uczciwość bon i domowej służby. Zapewne, nędza materialna często idzie w parze z moralną. Cieszyć się tedy powinniśmy z tego, że sfery robotnicze dobijają się poprawy materialnego bytu. Ale w tej

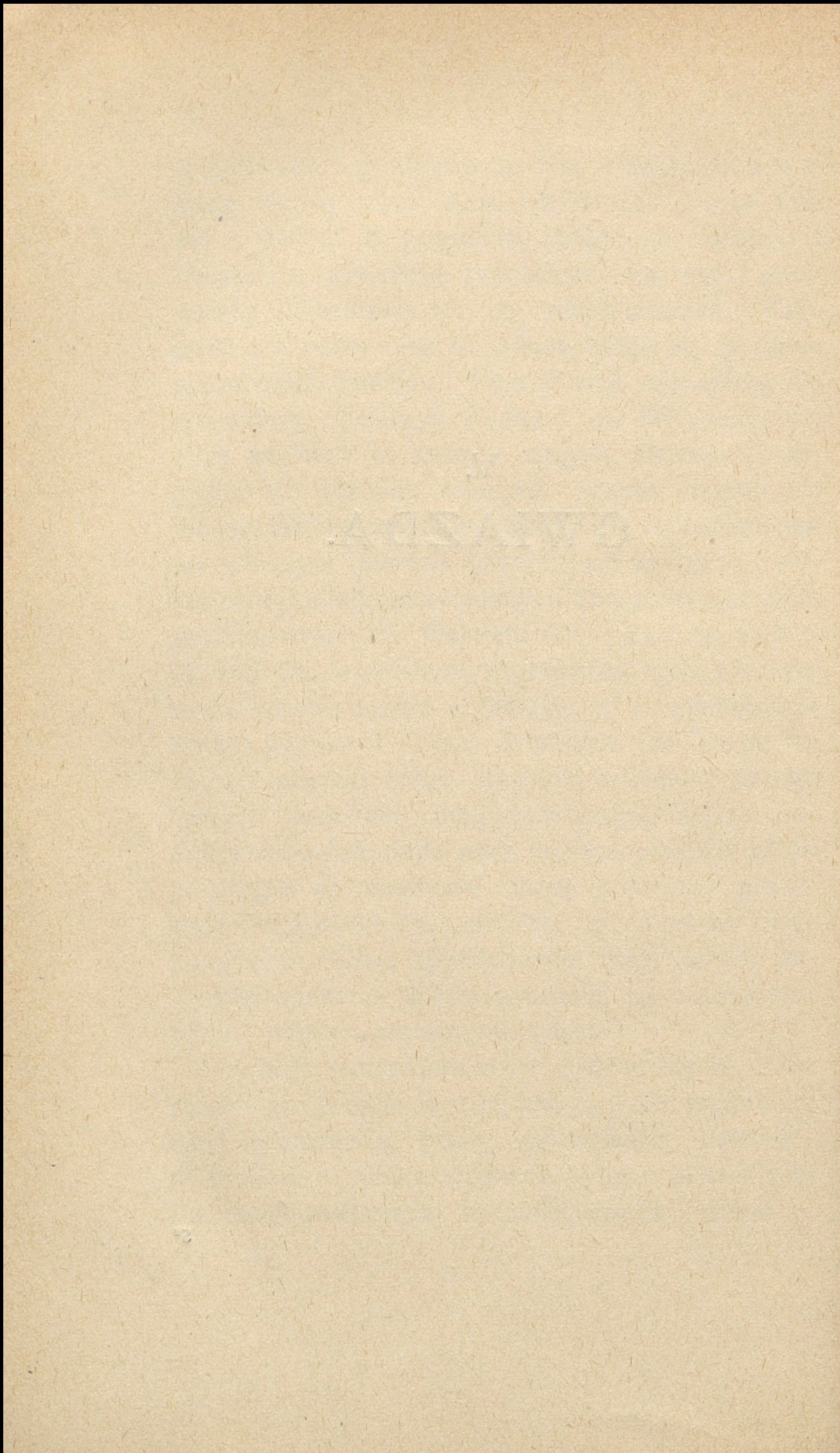
walce nie powinnyby we własnym interesie popa-  
dać w moralne rozwydrzenie, w podeptanie no-  
gami wszystkiego, co duszę uszlachetnia i pod-  
nosi do ideału, nie powinnyby własnych dzieci za-  
kazać chorobami swej duszy. U kobiet zwłaszcza  
wszystkich naszych sfer społecznych można zau-  
ważyć brak tego uświadomienia, że wychowy-  
wanie dzieci nie jest koniecznością, którą musi się  
zbywać dorywczo i byle zbyć, nie jest zbytkiem,  
na który pozwolić sobie mogą ludzie, posiadający  
czas i pieniądze, ale obowiązkiem najświętszym  
i pierwszym, wymagającym inteligencji, wiedzy,  
poświęcenia, wydatków, zupełnego oddania się  
i wysokiego, jak najwyższego nastroju etycznego.

Profesor gimnazjalny powiada, że w podobnych,  
jak ksiądz opowiedział, wypadkach nie pozostaje  
szkole średniej nic innego, tylko ekskluzya. Przy-  
puśćmy. Ale czy zdajemy sobie sprawę z tego,  
że ekskluzya nie leczy błędzących, ale wtrąca  
w wir większego jeszcze zepsucia i wykolejenia?  
Czy pamiętamy, że te ekskluzye wpychają w to-  
piel zguby najtęższe, najbogatsze w zasoby sił  
psychicznych i żywotnych jednostki? Bo z kil-  
korga dzieci w rodzinie które się wykolejają  
łatwiej? Nie te cherlaki bojaźliwe, anemiczne, bez  
silnych popędów, bez żywości wyobraźni, które  
łatwo godzą się na wszystko, spełniają jak ma-  
szynki, nakazane obowiązki, siedzą po kilka go-  
dzin dziennie nad książkami, zadowolają z łatwością  
rodziców i nauczycieli w szkole, wychodzą na

porządnych i przeciętnych. Nie! Najłatwiej wykoleją się organizmy silne i żywotne, o krwi bujnej i obfitej, z popędami potężnymi, obdarzone śmiałością, żywością wyobraźni, energią i zdolnością do inicjatywy, do samodzielności. Taki, jeżeli się »uda«, jak to mówią, staje się motorem społecznego postępu. Tacy jednak najczęściej się nie udają. Uciekają z domu na włóczęgę, nie chcą siedzieć w szkole, ulegają pokusom i popędom do różnych zboczeń. Szkoła średnia nie mogąc takich leczyć, wyklucza. Ale społeczeństwo we własnym interesie powinno ich wyleczyć i wykierować na ludzi pożytecznych. Dla patologicznych, psychopatycznych, kleptomatów — jeżeli są tacy — szpital! Dla wykluczonych, bezszkolnych, bezdomnych, znarowionych, wykolejonych — odpowiednie domy poprawy! Ludzi dzielnych nie mamy do zbytku, abyśmy mogli obojętnie tolerować stratę tysięcy jednostek, mogących najpiękniejsze nadzieje rokować. Sejm nasz teraz dopiero zamierza przystąpić do założenia domu poprawy, pierwszego w Galicyi, dla nieletnich, zaniedbanych i wykolejonych. Kraje cywilizowane mają takich zakładów oddawna więcej znacznie, niż zakratowanych i murami otoczonych więzień.

— A ja jedno dodam — odezwał się ks. Faustyn — nic te zakłady nie pomogą, jeżeli poprawiać będą nie miłością, pracą, pobożnością, natchnieniem ideałów, nauką wreszcie, — lecz psim kijem. Bo nawet rodzicielski kij hańbi, upadła i zabija.

V.  
GWIAZDA.



I.

**DOM GOETEGO.**

— Dziwnie przejmuję ta kolebka geniuszu...  
A ciągle wraca jedna myśl: gdyby nasz Julek..  
Tkwią mi bez przerwy i towarzyszą tu oczęta  
jego, od pierwszych chwil życia tak wymowne  
i jarzące...

— I mnie to samo. Ale geniusz nie uszczęśli-  
wia, raczej ku męczeństwu prowadzi... Ten chyba  
z szatanem zawarł przymierze, bo wysączyć do  
dna umiał słodycz życia. Nasze ziarno wątłe,  
drobne, jeżeli nie zwiędnieje zmrożone, może je-  
dnodniowy kwiat wyda silnym bożkom świata ku  
ozdobie...

— Jesteś gorzka...

— Smutno mi i tęskno za naszym chłopięciem.

— I mnie też samo. Jutro wyjedziemy, dziś  
dom ten warto jednak zwiedzić. Przykład, jak ko-  
bieta może być twórczem słońcem domowego  
ogniska, pięknem jego i sercem, skąd na wszyst-  
kich spływa miłość, spójnia i błogosławieństwo...

— A rola ojca?

— Myślę, że podrzędniejsza. Jego świat porwie, oślepi egoizm, teoria zapędzi na manowce. Tu do dziś dnia atmosfera przesycona duchem tej miłej matuchny, której śpiewak Fausta zawdzięczał rozkosz popędu twórczego. Cóż wobec tego znaczy »poważna postawa«!

— Chociaż tylko fizyczna, i ta nie jest obojętna, jako organ odporności i siły; lecz ojciec rodziny jest zazwyczaj wyrazem tężyzny w stosowaniu życia do poważnego na świat poglądu. W taki sposób ojciec głównie wyraża zbiorową duszę społeczeństwa, która na rozwój geniuszu wpływa.

— Matka tedy i ojciec, każde w zakresie własnym. W tym zaś domu wszystkie czynniki zjednoczyły się najszcześliwiej i najharmonijniej dla rozrostu genialnego półbożka Niemiec: dom sam, rodzina, tradycyjny obyczaj, stosunki sąsiedzkie, miejskie i narodowe. Oto historyczne okienko w bibliotecznej salce, patrz, które stary radca w ścianie wybić kazał... Tak, tu zajmowano się poważną lekturą, a rozbawione dzieci pieścotnym wiankiem tuliły się do matki, z uszanowaniem zaś korzyły przed czcigodnym, choć surowym ojcem. A ta czystość, ta serdeczna i szczerą naturalność i prostota, wszystko tchnie prawdą, nigdzie udawania ani pozy. Wszyscy pracą zajęci, nikt nie mąci powszechnej zgody...

— Stasiu! Czy my choć w części będziemy tak szczęśliwi? Jak zakląć, czem zniewolić losy?

-- Siebie raczej i zwyczaje własne, a na to trzeba stuleci. Geniusz nie jest cudem, z jasnego nieba spadającym, ani podobny do pieczonych gołąbków, które same lecą w otwarte usta narodów. Krew, nerwy, skłonności nasze i popędy — to wytwór życia pokoleń, przeto słusznie mówią, że pokolenia całe składają się na geniusz.

— Może pokolenia całe grunt przygotowują, ale geniusz, Stasiu, jest cudem, jak chcesz zresztą, nazwij tchnieniem, gromem Bożym, co mgły rozprasza nagromadzone, chaotycznie zagmatwane żywioły porządkuje, szlaki jasne postępu otwiera... O, wierzę w pomocną rękę Opatrzności, zsyłającej takich posłanników bożych, którzy ostrzegają, jak Skarga, lub krzepią i zapalają światła przewodnie, jak Kościuszko czy Mickiewicz. Na takich nie tylko pracować trzeba, ale także modlić się o ich zesłanie.

— Dobrze, wierzymy w Opatrzność, lecz pamiętajmy, że nie zsyła ona łask swoich próżniakom, głupcom, rozpustnikom, ani marnotrawcom. Z szerszeniej ich nory nie zrodzi się dobroczynny geniusz; brzęczą, dopóki Opatrzność, nieubłagana w sprawiedliwej i wolnej od sentymentalizmu konsekwencyi, nie wytepi ich co do nogi. Nic mnie tak nie gniewa, jak małoduszne na ślepy los i przypadek skargi.

— Bywają jednak tragizmy, których ludzki rozum nie wytłómaczy.

— Bywają; natura bogata w różnaitość obja-

wów i głębsza od ludzkiego rozumu. Ale nie zmierziliśmy jeszcze obszarów tego, co w naszej mocy, wszystko zaś świadczy, że nie są płytkie i wązkie. Nie są także, o ile chodzi o wychowanie człowieka niepospolitego. Recepty oczywisciana geniusz niema. Można jednak w rasach utrzymać rozsądne i szlachetne tradycje. Można w rodach żywić i pielęgnować niegasnący nigdy płomień duchowej wytworności, etycznej podniosłości i fizycznej tężyzny. Można wreszcie w rodzinie nie tylko inteligentną czujnością chronić dziecko przed wrogimi żywiołami, ze wszystkich stron szczególnie na geniusz od zarania rozwoju czyhającymi, lecz także miłownie i roztropnie dopomagać naturze, skracając jej zakrętne drogi, ustalając jej łożysko kamieniste. Matka w tem, i po stokroć razy powtórzę, matka jest główną mistrzynią! Toteż jestem zwolennikiem kształcenia kobiet nie na działaczki — agitatorki, histeryczno krzykliwe, aż do bezczelności śmiałe i wytarte, egzaltacją lub błagą wiecznie nadęte i skoszlawione, które świat od góry pragną reformować: ale takiego kształcenia, któreby wszechstronnie i jak najgłębiej rozwinął kobiecy intelektualizm, nie zabagniło duszy pedantyzmem teorii i rutyny, nie przytępiło zwłaszcza i nie oziębilo uczuć, ale je w szerz i w głąb uduchowilo; któreby wyobraźni nie odjęło ani polotu intuicyjnego, ani świeżości i żywości; któreby całemu charakterowi nie odebrało prostoty, wdzięku i tego, co nazywamy mianem zdrowego rozsądku;

aby się stały reformatorkami świata u samych podstaw jego, bo we własnym łonie i u dziecka kolebki i w rodzinnym gnieździe. Bo matka już przed poczęciem zbiera w sobie materiał twórczy przyszłego dziecka, a potem w łonie i przy kolebce zakłada podwaliny jego życia, a potem winna być aniołem stróżem, aniołem pocieszycielem swego tytana, gotującego się do walki z szatanami ziemi.

Ciebie, Maryo moja, prawdziwie dało niebo. Nie zasłaniaj mi ust. Nie dla schlebiania mówię, lecz dla umocnienia cię w wierze, tu, w tej kolebce geniuszu. Ciebie niebo dało, bo nigdy w nikim tyle subtelności wdzięku, tyle żywości umysłu i dobroci...

— Ależ, Stasiu, wstydz się, przestań, taką mi przykrość sprawiasz! I tak się ludzisz, niestety! Uczuciowość, duchowa subtelność nie wystarcza, mój drogi. Wiotka i wąta, nie dałam memu Julkowi tej siły fizycznej, bez której nie może człowiek wyrastać na tytana ziemi, ani kusić się o walkę z jej szatanami.

Patrz lepiej. Oto ów pokój, w którym Goete przyszedł na świat. Gwiazda na ścianie i wieńce, codzień świeże.

— Cześć dobroczynnym geniuszom ludzkości, one należą do wszystkich narodów i czasów.

— Ale dobroczynnym.

— Masz jakiś żal do autora Hermana i Doroty!

— Wolę Schillera. Rzecz dziwna, Goete zawsze przypomina mi Bismarka. Mądry, jak Lucyfer.

— Och, to niesłusznie! Oto ów słoneczny, jasny pokój pod dachem strychu, gdzie młody poeta, wspaniały, świetny, pasując się z wezbraniem natchnieniem zaczarowywał żywioły wyobraźni i tworzył Wertera. Zda mi się, że w powietrzu szumią skrzydła jego ducha, myśli twórczej pełne. Niemiecki naród szczęśliwy, miał pogodnych geniuszów wolnej myśli, wesołych uczuć. Naszego Adama kryptę kir okrywa, nasz Anhelli na obcej ziemi, Kościuszki mogiły obce bronią armaty...

— Ale myśmy więcej cierpieli, a w cierpieniu rodzaj mocy, który ani z armat, ani z giełdy nie rodzi się. Znamy tylko źródła krwi naszej i łez, ale gdzie i jakie ujście, wie Pan Bóg.

— Czy nie nazbyt bierna i niewolnicza ta moc, która z łez i krwi powstaje?

— Nasz geniusz uzbroi ją w broń archanioła.

— Czy nie nazbyt mieliśmy cierpiących geniuszów poezyi, proroków, ofiarę śmierci wieszczących?

— Może idzie czas czynnego geniuszu, który nas dźwignie z uczuć grobu, a odda życiu słonecznemu...

— Daj Boże!

— Ale to nie nasz Julek, Stasiu, nie nasz, taki wąty, mimoza, arfa o drżących uczuciach, dziecina przeczulona, rozanielona, rozśpiewana. O jakże pragnęłabym być w Krakowie!

— Jutro stanowczo wracamy.

## II.

## POWRÓT.

Wracają z dwumiesięcznej podróży, a w powrocie myślami gonią naprzód ku swemu chłopięciu, ośmioletniemu Julkowi, omawiając bez znużenia i szczegółowo cechy jego natury duchowej i fizycznej i układając projekta dalszego kształcenia. Jej lekarze nakazali ten wyjazd dla kąpieli, zmiany klimatu i wrażeń, — Julkowi kazali zostać.

— Chronście państwo tego chłopca — mówili — przed nadmiarem wrażeń, dajcie mu jak najwięcej snu, powietrza i słońca, nie dla niego jeszcze podróże, niepotrzebne mu kąpiele morskie, nadzwyczaj wrażliwy — mógłby popaść w rozstrój trudny do opanowania. Na szczęście znalazła się ciotka o sercu złotem, która Julka kochała nad życie, którą Julek kochał, jak własną matkę; mieszkała w słonecznym i kwietnym zaciszu pod Krakowem i tam przy niej Julek owe dwa miesiące przepełdził. Mogli tedy spokojnie odjechać i ból rozłączenia koić pewnością, że zostawili dziecko w najkorzystniejszych pod każdym względem warunkach. O, bo inaczej nie byliby pojechali. Dziecko to od pierwszych chwil życia było ich dumą, radością i ukochaniem; dziecko to było od kolebki przedmiotem podziwu i czci, graniczącej z jakimś bałwochwalczem uniesieniem całego otoczenia. Ciało niezwykle uduchowione, oczęta czarne, iskrzące

nieziemskim, przenikliwym wyrazem, przykuwały najobojętniejszego sceptyka; każdy za zbliżeniem doznawał magnetycznego wstrząśnienia, jak gdyby cała atmosfera dokoła tego dziecka przesyconą była jakimś tajemniczem i nie dającym się wytłómaczyć fluidem. I ten uśmiech na bielutkiej, żyłkami uwydatnionej, twarzyczce, drżącej najsubtelniejszym unerwieniem; i to czołko, jak kość słoniowa, białe, równe, rozumem tchnące, leciutkim obłoczkiem jasnym, jak aureolą, okolone; i te paluszki rączyn dziwnie delikatnych i rozwiniętych, z tak zniewalającą wymową zarzucających się miłośnie na szyję matki lub ojca: wszystko to zdumiewało, przejmowało trwogą, jak cud, jak nieziemskie zjawisko.

— Toż cud natury, same nerwy, mówił przyjaciel domu, doktor, śledząc dziecinę badawczym wzrokiem. Chociaż bez wady organicznej, trzeba je przecie pielęgnować czujnie, aby to nie zmarniało w niegościnnej atmosferze ziemi.

Pielęgnowanoż po dniach i nocach, nadśluchując oddechu, na każdy ruch i na każdą zmianę czujni. Jeszcze dziwniejsze były dalsze objawy. Szczuplutkie dziecko już w dziesiątym miesiącu życia, jak iskra, biegało po pokojach, nauczywszy się przedwcześnie nie tylko chodzić, ale szczebiotać i nucić, a przyklaskiwało rączynami z zachwytem w takt wesołych melodyi, które wygrywała na fortepianie matka, drętwiało zaś i w niemem osłupieniu zalewało się łzami pod wpływem smutnych.

Muzyka i kwiaty były żywiołami, które potężnie działały na tę młodą duszyczkę, wprawiając ją zawsze w natchnioną ekstazę, muzyka zwłaszcza, której przysłuchiwać się mógł i pragnął bez znużenia od świtu do nocy; gdy nie słuchał, nucił i komponował melodye na jawie, a nawet we śnie. Ileż to razy powtarzał, że mu tam w czołku ciągle coś gra, a także na dworze wszystko gra, i słońce, i powietrze, i drzewa, i kwiaty, i muszki, nawet głos mamy wydaje mu się, jak granie.

Domyślali się rodzice talentu muzycznego, ale zdawali sobie sprawę, że przedewszystkiem winni wszystko uczynić, aby uchronić przed rozstrojeniem czułych, jak arfa, niesłychanie wrażliwych nerwów, unikać zbyt licznych wzruszeń i podrażnień, uspokajać bardzo żywą wyobraźnię, hartować fizycznie, i zwolna w organizmie zgromadzać zasoby odporności. Zazwyczaj rodzice surowym wobec kapryśnych zachcianek oporem usiłują zapobiegać t. z. rozgrymaszeniu wrażliwych dzieci, obawiając się, aby owe kapryśne zachcianki nie przetworzyły się w samowolę, urągającą wszelkiemu pojęciu karności. Dobrze to, jeżeli nie brutalizuje w trywialny sposób subtejnej i delikatnej wrażliwości, jeżeli nie zaskorupia uczucia, jeżeli nie przytłacza głazem absolutyzmu naturalnego pędu dziecka do pasowania się z własnymi w duszyczce pożądaniami i popędami, tego cennego pędu, z którego ma się kiedyś wytworzyć świadoma wola. Julkowi nie groziło rozkapryśzenie takie i rozgry-

maszenie. Okazywał on podatność, miękkość i powolność wobec rodzicielskich zabiegów, nie można powiedzieć bierną lub niewolniczą, ale taką pieśzotliwie tkliwą i pobłażliwą, jakby intuicyjnie odczuwał lub z całą samowiedzą rozumiał, jakie inteligentne i serdeczne pobudki zabiegami względem niego rodziców kierują. Ilekroć coś rodzicom nie podobało się, zapobiegał wymówce tak czułym tuleniem się do piersi matczynej, tak ujmującym objęciem szyi ojca rączynami, tak przejmującym spojrzeniem i subtelną minką, że słowa w ustach matki i ojca zamierały. Miękka, kobieca w nim przeważała natura, podkreślona tylko niekiedy przeblyskami męskiej, twórczej siły. Jeżeli coś zraniło głębiej jego duszyczkę, nie płakał, jak inne dzieci, tylko pogrążał się w cichy, melancholijny smutek i usiłował łzy po twarzy płynące ukryć.

Rozwijał się duchowo z wiekiem błyskawicznie, przerażająco, kosztem ciała, które pomimo najwyższych starań mało i bardzo powoli męźniało. Nie wiadomo, jak i kiedy poznał nuty i nauczył się już w piątym roku grać na fortepianie. Rodzice widząc, że temu niezwykłemu popędowi do wyrażania się w muzyce żadne siły ludzkie oprzećby się nie zdołały, dostarczyli mu doskonałego nauczyciela; zachwycał się on swoim uczniem i porównywał go z Mozartem, który w szóstym roku życia popisywał się już koncertami na dworach w Monachium i Wiedniu, a w ósmym wydawał sonaty lub z Mendelsohnem, który po dwunastym

roku życia zaczął tworzyć własne kompozycje; lub z Beethovenem, który w trzynastym roku życia zdumiewał muzyków wirtuozostwem.

Istotnie Julek, grając całymi dniami z nut i pamięci, improwizując i przetwarzając, zdobył olbrzymią w tym wieku wprawę techniczną i rozgorzał prawdziwą muzyczną namiętnością. Zabiegano, by nie pochłaniała ona snu, tak potrzebnego rozkołysanym i wysiłonym twórczymi porywami nerwom. I w tym jednak względzie ochrona nie zawsze się udawała. Zdarzyło się, że wracając z wizyty późną nocą zastawali rodzice w ciemnym pokoju Julka przy fortepianie, pogrążonego w improwizowaniu swoich kompozycji.

Wiadomość o cudownym chłopcu rozchodziła się po mieście; zaczęły się nalegania o popisy koncertowe. Lecz roztropni rodzice oparli się temu stanowczo, aby rozkwitającego wspaniale talentu nie zbrutalizować. Raz tylko słuchał gry malca jeden z najsłynniejszych obecnie pianistów kompozytorów, bawiący chwilowo w Krakowie. Czule, z przejęciem uściskał Julka po wysłuchaniu: »Anioł sam muzyki gra w tobie, mówił. Nie sprofanujesz go i nie nadużyjesz, bo pokochał ciebie i z czarował. Czcij go i stygmat kapłaństwa weź w tym pocałunku«. I zachwycony, natchniony grał długo i z przejęciem klęczącemu u kolan orlątku.

A jakaż to szczęśliwa była chwila dla serc rodzicielskich, wezbranych dumą!

— Jak, skąd się to wzięło u nas? — zapytywali

sami siebie wśród tych rozpamiętywań, wracając z podróży. Nie jestże to cudem istnym? Prawda, kultem muzyki zawsze odznaczały się nasze rodziny od pokoleń. Ale tak niezwykły fenomen! Och, żeby mu tylko siły fizyczne dopisały! Och, żeby też choroba jaka nie podgryzła i tak już delikatnego organizmu!

Już z niecierpliwości drżeniem zbliżają się do Krakowa. Już noc zapadła, już widać zdala światła miejskie i latarnie dworca. Kraków. Na peronie Julek i ciotka. Powiewanie chustkami, urywane okrzyki, uściski powitalne. Chwała Bogu!

— A my prosto z teatru, z opery — mówi ciotka.

— Jakiś ty rozgorączkowany, Julku! Nie boli głowa?

— Och nie, takim szczęśliwy, szczęśliwy!

W domu na przyjęcie pełno kwiatów i światła. Chodźcie już, chodźcie! — nagli Julek do fortepianu.

— Idźcie, szepce ciotka. Niespodzianka, z którą od miesiąca się nosi. Kompozycja powitalna dla was. Taki był dziś niespokojny i zdenerwowany, że dla przynaglenia czasu wzięłam go na operę. Powiadam wam, cały czas był w entuzjazmie.

Zaczął grać. Zdawało się, że duszę wygra, że bóstwo harmonii zaklęło te drobne rączyny, to czołko rozognione natchnieniem, i że nie on, Julek, ale to bóstwo gra. Skończył i pochylił się w znużeniu. Nuty, przypadkiem potrącone, spadły na posadzkę. Śmiertelna, kredowa bladość osnuła

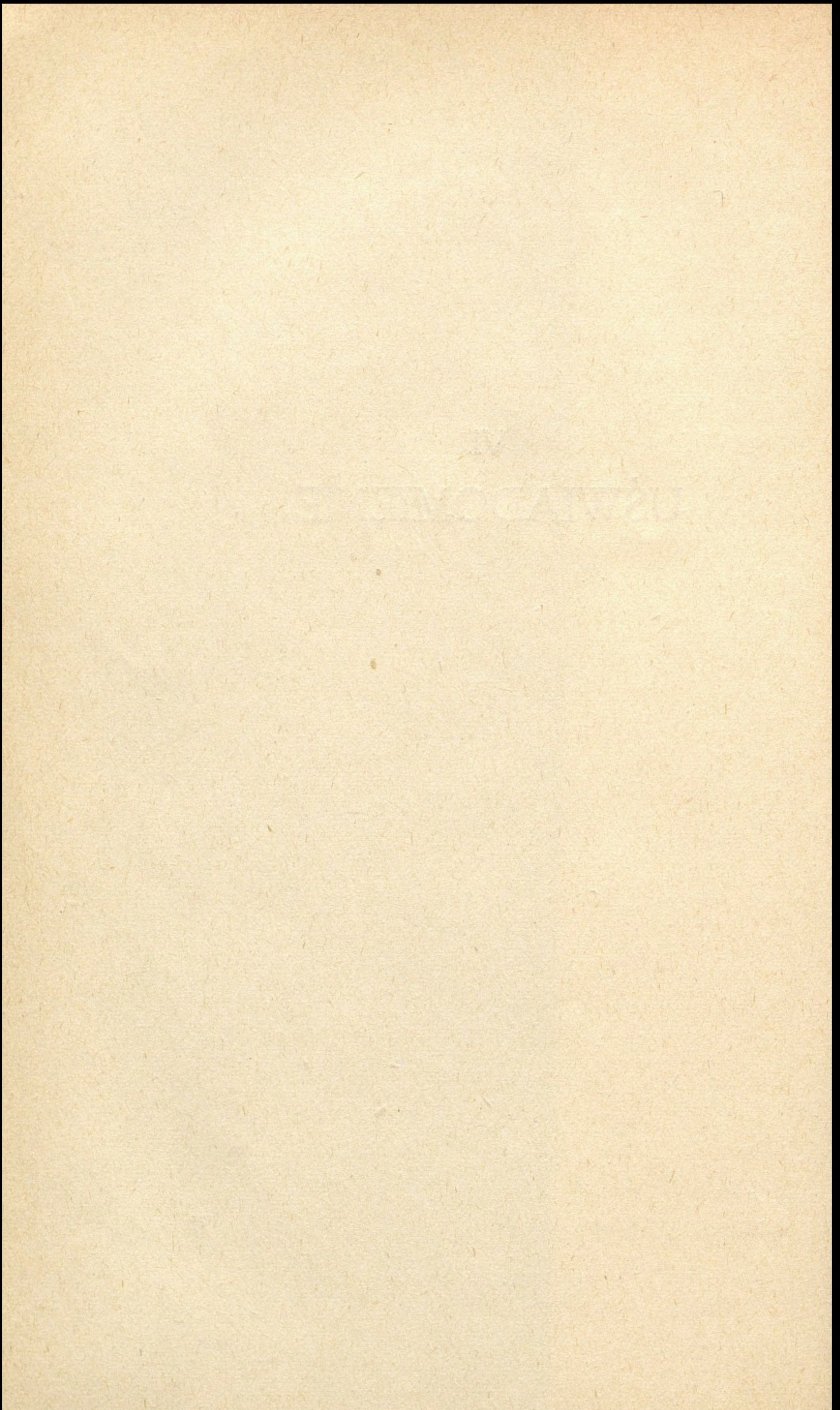
twarzyczkę, słania się, pochyla... Przerażeni rodzice, ciotka porywają chłopię... Zemdlał, wody! Ojciec niesie do łóżka, łez powstrzymać nie może; matka na poły przytomna biega, dzwoni. Zbiega się służba...

— To nic, to nic, już mi dobrze, — mówi rozebrany i wodą ocucony. Nie bójcie się, moi kochani, moi drodzy, serdeczni! O, nie miejcie obawy! Bo zapisano tam, ponad szczytami dróg mlecznych, u źródła wszelkiej harmonii, w księdze dyamentowej, że nic mi tu nie grozi, zanim nie wyśpiwam, co rozkazano. O, jak błogo, że już jesteśmy razem.

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

Faint, illegible text at the bottom right of the page.

VI.  
UŚWIADOMIENIE.



— Ani słowa, panie dobrodzieju, ani słowa. Chłopak jak wymieniony, odkąd u profesora na stancyi. Już mu bekasy i bąki ani w głowie, czyta, hultaj, jak literat, i do gospodarki bierze się wcale tego, wcale!... Mam tylko obawę, jakby to wyznać, hm... żeby się nie złasił rychło do... (na ucho) do alkówki...

— Co pan mówi? Czyżby co w czasie wakacji?...

— Uchowej Boże, nie! Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wyrósł, jak dębczak, krew mu z lica tryska, błyszczą oczy, lada dzień jeno patrzeć: mech pod nosem. Ja, panie, w tym wieku, no, różnie bywało. Myślę, że także jego dogrzewa. Jestem prostak, w wolnych jednak od gospodarki chwilach z nudów biorę czasem do rąk książkę. Piszą i nawołują: uświadamiać! Żona mi tem i guwernantka w uszy bębnią. A te kobiety emancypantki, niech ręka boska broni! Jako groch z kapustą, gadają, gadają, aż w głowie huczy. Co stare — do niczego; mądrość tylko w nowości. Prawda, lepiej mieć oczy otwarte, niż brnąć na oślep. Ale to, panie łaskawy, strach! Bo zgrzeszyć opieszałością — przepaść na dłoni; a wziąć się niepolitycznie —

zgorszenie jawne. Im, panie, powiadają, jakoś nie wypada, więc niby ja mam Stacha uświadamiać. Tfu, do licha!... Za moich czasów... No, jak mi pan w tej materii radzi?

— Mnie rodzice nie uświadamiali, jednak ucho-  
wałem się jakoś...

— Otóż to! Mnie tak samo! Uczyć niby kota,  
jak ma słoninę lizać...

— Jednak ktoś uświadomił, bo jakże?...

— Tfu! panie dobrodzieju! Czy to tak trudno  
na świecie o Telimenę?

— Nie życzę Stachowi podobnego doświadcze-  
nia, zwłaszcza wobec niepewności, czy ta Teli-  
mena jego, jak Tadeusza, powstrzyma od topieli  
w błocie!...

— Prawda. Toteż prosiłem kuzyna naszego,  
jezuitę, O. Bernarda, aby żonie wyłuszczył swoje  
w tej mierze zdanie. Światły ksiądz, światły i po-  
bożny. Rozpisał się długo, lecz nazbyt górnie.  
Żona kręciła głową, guwernantka rozsypała się zło-  
ścią, no i musiałem zasięgać rady drugiego ku-  
zyna, profesora uniwersytetu na wydziale lekar-  
skim. Napisał zgoła co innego. Teraz radź mi,  
profesorze, co zrobić.

— Kobiety znają się na tem najlepiej...

— Cha, cha, cha! Niechże cię uściskam. Pra-  
wda? Ja im toż samo ciągle mówię. Niechże same  
uświadamiają!

— Nie myślałem tak. Chciałem powiedzieć, że  
kobiety często delikatniej odczuwają, co się dzieje

w sercu chłopaka i może bystrzej obserwują. Zanim tedy przedsięwziąłbym coś względem Stacha, pragnąłbym poznać pani zapatrywania i dowody.

— Ależ wybornie! Jej w to graj, a mnie kamień spadnie z serca. Przyszłę panu owe listy i zdanie żony. A teraz może do Hawelki, bardzo proszę. Kawiorek, szklanka porteru, to dobrze rano robi...

Wymówił się profesor obowiązkami, a po kilku dniach otrzymał listy od matki Stacha, od O. Bernarda i Dra Z., lekarza.

\* \* \*

Nie będziemy tu cytowali sążnistego listu troskliwej matki, poprzestając na zwięzłym streszczeniu. Nieszczęściem europejskiej cywilizacji — pisała, — narażającym młode pokolenia na tragiczne katastrofy, — jest rozpanoszona wszędzie, w obyczajach i szkołach, obłudna pruderya, wytwór średniowieczny. Wysilamy się wszyscy, aby to, co w naturze jest proste i konieczne, okrywać tajemniczością, gmatwać udawaniem, wyrafinowaniem i niedomówieniami. W ten sposób wytwarzamy w wychowaniu młodzieży sztuczną atmosferę podniet erotycznych, drażniących wyobraźnię i nerwy. Belletrystyka, wzgardziwszy naga posągowością i klasyczną prostotą, idzie z obyczajami w parze, zasłaniając się kokieteryjnie gazą subtelnych dwuznaczników i grzebiąc z lubością w sytuacjach wyrafinowanych lub patolo-

gicznych. A cóż powiedzieć o zarazie pornografii, alkoholizmu i gorączkowości życia miejskiego, spędzanego po kawiarniach, szulerniach, balach i gełdach. Wychowanie szkolne jednostronnie kształci intelektualizm, moralność zaś zasadzając na karności i posłuszeństwie, wdraża do oportunisty; z drobiazgową pedanterią rozwinęło system dydaktyki w zakresie wyobrażeń, nie tknąwszy niemal dydaktycznych zagadnień w zakresie kultury uczuć; w dziale kształcenia fizycznego poprzestaje na życzliwej protekcji. Dzwon alarmu przed grozą degeneracji byłby uzasadniony, gdyby sytuacji nie ratował wieśniak ze swem życiem prostaczem i pracowitem, gdyby zresztą w samej inteligencji nie podnosił się coraz silniejszy protest przeciwko grożącemu cherlactwu.

Chłopak, w tej atmosferze rosnący, musi popaść prędzej lub później w erotomanię. Zdemoralizowani koledzy przykładają mu rychło do ust mętny puhar rokoszy, najuludniejszej ze wszystkich, które są dostępne śmiertelnym, najzawrotniejszej, najbardziej zwierzęcej i niebezpiecznej. Poczyna niedoświadczony młodzieniec istny taniec piekielny nad brzegiem przepaści, wiodący do różnego stopnia skażeń, co najmniej do neurastonii. Wyciśniętą cytrynę świat zmusza wreszcie do małżeństwa. Dla pozycyi odgrywa marną komedję miłości, prowadzi narzeczoną przed ołtarz. Zgnilizną cuchnący grób nie obdarzy jednak słońcem białej lilii. Będzie ona, biedna, pielęgnowała

tabetyka, będzie grzebała jedną dziecinę po drugiej, będzie odwoziła własnego męża do domu obłąkanych, będzie na własnym ciele nosiła ślady jego skażeń, w duszy piętna jego cynizmu. W najszczęśliwszym wypadku mąż, znudzony brakiem korzennych przypraw, rozpocznie włóczęgę po kawiarniach, karceniach i separatkach, wspaniałomyślnie obdarzając żonę troskami o domowe ognisko i wychowanie dzieci. Ileż to żon z tego powodu rzuciło się w odmęt wiarołomstwa!

Czyż obraz ten nie powinien pouczyć, że młodego chłopca trzeba osłonić przed przedwczesnym strwonieniem sił żywotnych, które mają go uczynić człowiekiem czynnym, mężem dzielnym, ojcem pokoleń zdrowych? Jedyłą drogą do tego celu rozumne uświadomienie, skoro drażniących podnieć obłądy, pruderyi i zmysłowości nie możemy rychło zmienić. Oczy otwarte na niebezpieczeństwo opancerzą go przed wpływem zepsutych kolegów, przedstawią w prawdziwym, dziennym świetle różnicę między wdziękiem niewinności, a ohydą zepsucia.

\* \* \*

Z cierpliwością odczytał profesor te tyrady stroskanej matki. Niechże — myślał — do dna wypiję ów kielich goryczy... i począł czytać listy O. Bernarda i Dra Z.

Pierwszy pisał:

W roztrząsaniach kwestyi t. z. »uświadomienia«

spotykamy często pomieszczenie dwóch zasadniczych na świat poglądów: idealistycznego i materialistycznego. Kto, jak pani, wychodzi z zasady pierwszej, winienby konsekwentnie dojść do wniosku, że tak należy młodych wychowywać, aby uświadamianie było zupełnie zbędne. Nawet w warunkach obecnego życia ta skrajna logiczna konsekwencja nie jest wcale niedorzeczną, jak się na pozór zdaje, nie wymaga odgradzania młodzieży od świata klasztornym murem, ani wychowywania na adeptów dozgonnego celibatu. Pani wierzy w uświadomienie, jako jedyny środek opancerzenia przed niebezpieczeństwem: — ja — w skuteczniejszy o wiele i bez porównania, pancierz idealizmu. Pani ufa rozumowi: ja go uważam za zawodny, a w uczuciu i woli widzę bezpieczniejszą ostoję. Pani drży najbardziej przed cielesną tragedią i nie zawahałaby się uniknąć jej nawet kosztem starcia z duszą idealnego pyłku dziewiczości uczuć: mnie, czyn nieświadomy, chociażby nawet na dno cielesnej nędzy wepchnął, wyda się tylko błędem, nie zaś grzechem; błąd choć pogrzebie ciało, duszy nie kała; grzechu istotą jest świadomość, ten duszę zawsze bruka, acz ciała nie tknie. Cóż pani uważa za ważniejsze? Pani mówi: Wiadomość złego i dobrego wypędzi go prędzej czy później z raju. Może prawda. Lecz roli węża brać na siebie nie godzi się rodzicom. A potem nie jest obojętna rzecz, czy wygnanie z raju niewinnej nieświadomości nastąpi

prędzej, czy później. Zysk na czasie w wychowaniu bardzo często stanowi o wygranej. Nic mnie tak nie brzydzi, jak piętno cynizmu na miedzianem czole młodzieży.

Opancerzmy tedy młodzież, ale płomiennym ogniem chrześcijańskiego ideału, duchem Bożym, który w raju niewinności bezpośrednio z duszą młodzianka obcuje, murem czujności, która miłośnym ramieniem otacza przed zgorszeniem i pokusą; pracą hartowną, która mięśnie umacnia, sen słodki daje, złe myśli płoszy; łaską Bożą, łaską poświęcającą, która z modlitwy i żarliwej wiary płynie zabezpieczającym i oczyszczającym źródłem.

A gdy zahartowany stanie przed aniołem gniewu Bożego, gdy mu czas przyjdzie pójść w świat z okiem otwartym na życia trud i cel, ku śmierci kresom: w promiennej tęsknocie za utraconym rajem brudu ziemskiego nie nazwie niebem, naturze dań splanając, nie zapomni o wyższym przeznaczeniu, o powinnościach wobec duszy i Boga.

Serca do góry wznieść, a odpadną wszelkie pokusy i niebezpieczeństwa. Oto moje uświadomienie.

\* \* \*

Profesor uniwersytetu pisał:

Ścisła nauka w poruszonej sprawie niewiele ma do powiedzenia. Badania fizyologiczne tyle tylko stwierdzają, że organizm ludzki w wieku od 13 do 20 (u dziewcząt) lub do 24 (u chłop-

ców) lat znajduje się w okresie przełomowym, w którym dojrzewa popęd rozrodczy. Dojrzwaniu temu towarzyszą rozliczne objawy bądź natury fizyologicznej, jak np. naglejszy rozrost kośćca, mięśni i nerwowego systemu, bądź fizyologiczno psychicznej, jak pobudliwość w różnych formach, np. wybuchliwość, kaprys, rozdrażnienie; lękliwość i nieufność, dochodząca niekiedy do ponurości i zasklepienia się w sobie; tęskne marzycielstwo i egzaltacja uczuć; namiętne popędy ku miłości nie tylko płciowej, ale także ku umiłowaniu drogą intelektualizmu zaszczepionych ideałów. Ów potężnie przyśpieszony rozwój życia fizyologicznego i psychicznego, następujący po cichej i napóły świadomej słoneczności lat dziecięcych, zadziwia i oszałamia młodą świadomość, wytrąca ją z równowagi, dręczy niepewnością i zagadkowością, której wszelkimi sposobami pragnie się pozbyć.

W owym to przełomowym czasie należy wybrać odpowiednią chwilę, aby w taktowny i przyjacielski sposób podanymi wyjaśnieniami dopomódz niejako naturze psychicznej do uwolnienia się od udręczeń. Dla czego? Rzecz prosta i oczywista. Dla tego, gdyż ów popęd do uwolnienia się występuje zazwyczaj tak silnie, że wyszuka sam sposoby, a te bardzo łatwo mogą być przeciwne naturze i w najwyższym stopniu zgubne zarówno dla zdrowia fizycznego, jak dla normalnego rozwoju władz psychicznych.

Cała jednak pedagogiczno — higieniczna wartość tego drażliwego zabiegu wychowawców polega w zupełności na trafnie obranej chwili i stosowności użytych wyjaśnień. Tu teoria poprzestaje niestety na bardzo skromnych i negatywnie wyrażonych ogólnikach: nie zawcześnie, nie zapóźno, nie przesadzając i nie dotykając zbyt konkretnych szczegółów, aby sztucznie nie poddać czegoś, co w danym stadium popędowego rozwoju nie odpowiada potrzebie i mogłoby ujemnie oddziaływać na dalszy rozwój.

Do tego trudnego i drażliwego zabiegu najczęściej powołani są inteligentni rodzice, którzy rozporządzając doświadczeniem, bezwzględnie własnych dzieci zaufaniem i największą sumą sposobności do ich obserwacji, mogą wcale szczęśliwie wywiązać się z zadania.

Czy i o ile syn Pani potrzebuje podobnego uświadomienia i kto w tym wypadku najodpowiedniejszy będzie do tego dzieła, nie mogę rozstrzygać. Kreślę się i t. d.

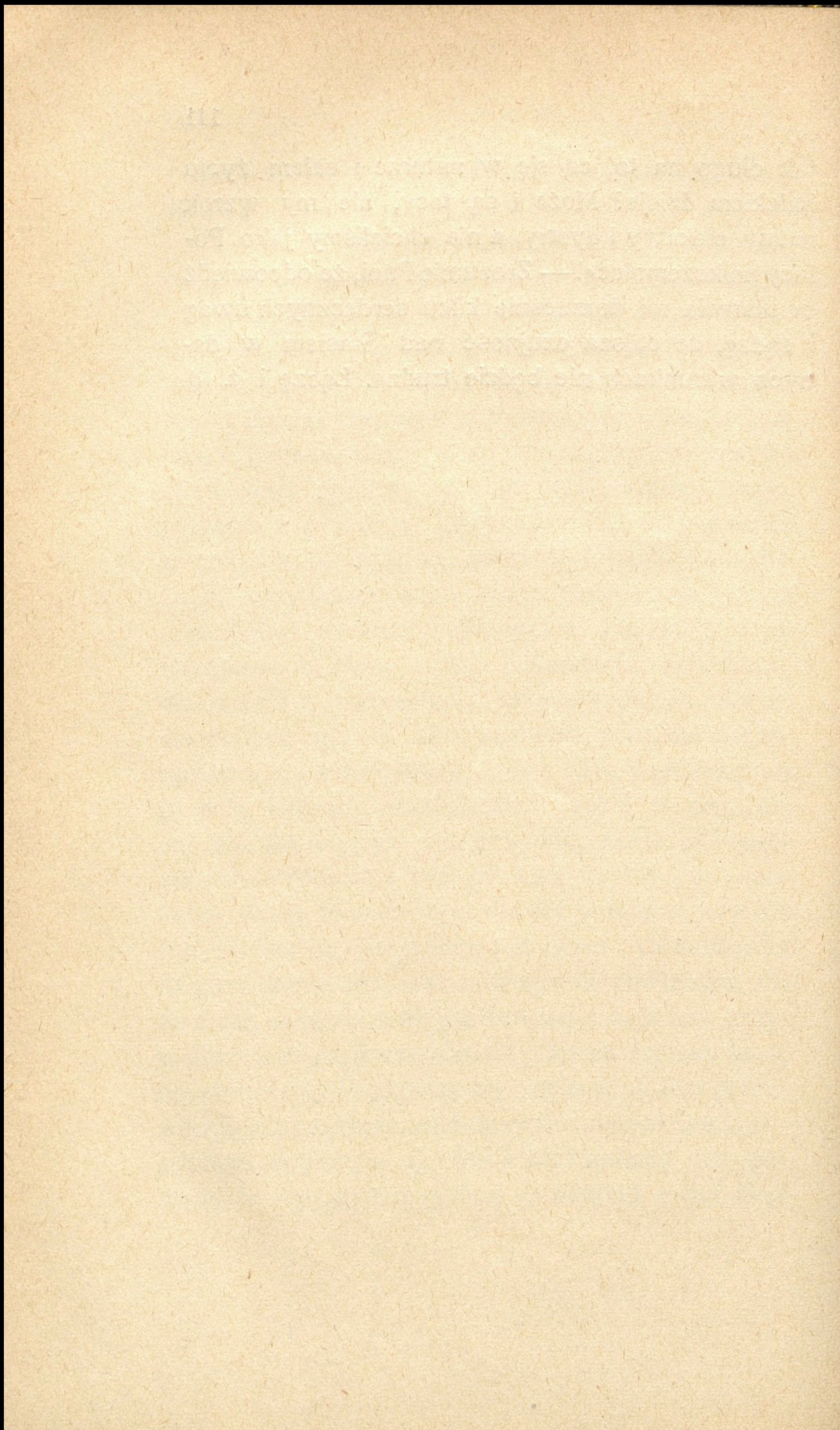
\* \* \*

Przeczytawszy powyższe listy, na mocy upoważnienia rodziców, postanowił profesor w czasie najbliższego spaceru ze Stasiem za miasto, w ciągu rozmowy jakby mimochodem i od niechcenia rzucającymi pytaniami wysondować go, a w razie potrzeby dać mu konieczne wyjaśnienia. Z przebiegu

swych usiłowań zdał matce w następującym liście sprawę:

— Już po paru pytaniach, Staś roześmiał się i zauważył, że pewno mam zamiar go uświadamiać. Okazało się, że tej roli podejmowali się już: spowiednik, jeden z zaufanych przyjaciół, a wreszcie niejaka panna X., znana swego czasu na naszym bruku działaczka, agitatorka, reformatorka, przyjaciółka gimnazjalnych uczniów, między którymi dla zbawienia świata propagowała różne teorie o walce z pruderyą, klerykalizmem, konserwatyzmem, szkołą rządową, szermując hasłami koedukacyi, samokształcenia, zautonomizowania szkół, organizacyi, emancypacyi, wolnej miłości i t. d. Urządzała u siebie różne posiedzenia i wykłady dla uczniów o kwestyach seksualnych, aż wreszcie policya uznała za stosowne wydalić rozgłaszającą reformatorkę, jako obcą poddaną, za granicę. Koledzy Stasia drwili sobie z niej, ale chodzili dla »hecy«, jak powiada. »Zresztą — mówił mi — rodzice i pan profesor mogą być spokojni, wiem bowiem tyle, ile mi potrzeba, aby nie być bydlakiem, waryatem i głupcem. Ta sawantka samozwańcza nic nam nowego nie obwieściła. Co do mnie, związałem się już dawniej z czterema przyjaciółmi kolegami wzajemnem przyrzeczeniem, że się nie zbruczemy i będziemy się popierali w tem przedsięwzięciu. Przyrzeczenia dotrzymam«. — »Skądże — pytałem — pomysł ślubów i zrozumienie ich potrzeby?« — »Czyż mogliśmy — odrzekł — być ślepi

tak długo na to, co się w naturze i całym życiu ludzkim dzieje? Może i są tacy, ale my wzrok mamy ciekawy i bystry, a nie chcieliśmy jako Polacy znikczemnieć«. — Zrozumie Pani, że odpowiedź ta ułatwiła mi dorzucenie kilku serdecznych uwag i sądzę, że dalsza czujność nad Stasiem w danych warunkach nie będzie trudna. Łączę i t. d.



VII.  
JUBILACI.

1000

## JUBILAT No 1.

»Z dumą mogę powiedzieć, że dwadzieścia lat spełniając trudne obowiązki na tem kierowniczym stanowisku, cieszyłem się zawsze najzupełnijszym zaufaniem, przywiązaniem i poparciem zgromadzonego dziś grona nauczycielskiego, czego pięknem uwieńczeniem jest ta manifestacya. Między mną a gronem nie było ani razu rozdźwięku. Powiem więcej: nie było go nawet między mną, jako przełożonym, a jednostką, do korporacyi grona należącą. Nie potrzebuję podnosić dodatnich stron tej harmonii i jej wpływu na podlegającą nam młodzież. Tłumna gromada kilkuset chłopców, nagromadzonych pod jeden dach szkolny z różnych sfer, z najrozmaitszymi nałogami i temperamentami, stek przywar i różnych popędów lekkomyślnych, rojowisko nieświadomionych i mało powstrzymywanych własną wolą instynktów, często zgubnych, zawsze niedojrzałych i pochopnych do wybryku, z uchem na podszepty różnych wilków społecznych wytężonem i podatnem: wymaga jednolitej, zwartej, jak okuta w stal falanga, harmonijnej karności, ażeby się dała zniwelować w duchu idei pedagogicznej.

Nieugięta, konsekwentna, żadnym zmanierowanym sentymentalizmem nieosłabiona, żelazna karność była zawsze głównym hasłem mojem. Dzięki długoletnim jej wpływom młodzież nasza nie jest zuchwała i butna, nie razi rozhukaniem, samowolą, wybrykami, na godzinach nauki, na modlitwie w kościele, na pauzach po klasach i na dziedzińcu jest poważna i skupiona w sobie, uważna, niekrzykliwa, nieskora do rezonowania, posłuszna...

— Dla czego jej nie widzimy na tej manifestacji? mruknął cicho jeden z młodszych adeptów stanu nauczycielskiego, skryty sceptyk i opozycjonista.

— »Pojedyncze objawy niesubordynacyi karcąc mocną ręką, zapobiegamy zawczasu demoralizującym jej wpływom. Nieubłaganie tępiąc przedwczesne wybryki rezonerstwa, donkiszoteryi, warcholstwa — te smutne a ciągle niestety przywary nasze społeczne — wychowujemy pracowników cichych, skromnych, sumiennych, cierpliwych, bez wyuzdańszych potrzeb i pretensyi, zadowolonych ze swego losu, ze swych zawodowych, w wytkniętym zakresie specjalnych zajęć. Na takich to gruntuje się prawdziwa potęga narodów, głęboko pojęta moralność społeczna.

W tym też duchu i celu nigdy, przenigdy, śmiało twierdzić mogę, nie stanąłem po stronie ucznia lub jego rodziny przeciwko nauczycielowi tego grona, jeżeli kiedykolwiek zdarzyło mi się

zająć w kolizjach tego rodzaju stanowisko. Zawsze stawałem niezłomnie, niezachwianie, zasadniczo w obronie nauczyciela, jego powagi i jego prawa supremacji. Wiedzą o tem uczniowie, wiedzą strony; toteż od dawna nie zdarzają się tu żadne skargi, którym posłuchu nie dałbym.

Szkoła — moi panowie — musi być nieomylna, jak Kościół, jeżeli ma rzeczywiście stać na straży porządku i karności.

Cieszę się, że panowie, składając mi uznanie, podzielacie to stanowisko, które nam wszystkim w wysokim stopniu ułatwia osiągnięcie po drodze doskonałej karności dydaktycznych także zadań, tak ściśle z karnością zespolonych, że jedno bez drugiego pomyśleć się nawet nie daje.

Tu już wyłączna panów specjalistów zaczyna się rola; tu każdy sam za siebie musi odpowiadać, sam w swoim domu musi być panem, do czego uprawniły was, panowie, długoletnie kwalifikowane studia fachowe, żmudne doświadczenia praktyczne, indywidualne zamiłowania. W tym względzie nigdy też panów nie krępowałem, nie posuwałem się nigdy do pedanterii wnikania w indywidualne metody dyktatyczne, narzucania własnych widzimisię lub z góry przez jakieś powagi uświęconych teorii, nie zrażałem sekaturą kontroli, ani szpiegowskiemi podejrzeniami. (Oklaski). Przeciwnie bezwzględnie i absolutnie ufałem, że spełniacie, jak można najdokładniej i najlepiej, swoje

obowiązki w ramach istniejących planów, instrukcji i ustaw. (Oklaski).

Oto, moi panowie, niejako program, którego trzymałem się wiernie w ciągu lat dwudziestu, który mi dał wewnętrzne zadowolenie, uznanie ogółu i władz, a przede wszystkim, co sobie tak wysoko cenię, uznanie panów, jako współpracowników na wspólnej niwie«.

— Kreon! — mruknął opozycjonista.

— »Że wrócę do karności młodzieży naszego zakładu, jedno, co mnie do żywego boli i gniewa, co jeszcze do bezwzględного i surowego wytępienia u nas pozostaje, te owe ciągłe odstępstwa uczniów od istniejących i obowiązujących przepisów umundurowania, owe peleryny bez wypustek, czapki czarne kroju oficerskich, niekiedy nawet morowe, spodnie w klosz, mundurki w formie ułanek, nawet często z kolorowem obrzeżeniem. Nie wolno! Przepis powinien i musi być wykonany! Proszę, by mi w wytępieniu tej ostatniej niesubordynacyi panowie wszyscy szli na rękę. Co do mnie, ile razy takiego panicza schwytam, stante pede precz gonię! Lecz jeżeli wszyscy w tem zgodni nie będziemy, nie pomogą moje zabiegi. Usilnie panów proszę, aby baczną na te wykroczenia zwracali uwagę, a winnych do surowej pociągali odpowiedzialności.

Przepraszam za tę dygresyę i jeszcze raz gorąco i serdecznie za owacyę dziękuję«. (Oklaski).

## JUBILAT No 2.

— Moi kochani! Za serdeczne życzenia wasze Bóg zapłać! Bóg zapłać, a w tem się mieści nie tylko wyraz szczerzej wdzięczności za przyjemność, którą mi wyświadczyliście, lecz także stwierdzenie tego faktu, że szlachetne uczucia wasze same w sobie są dla was źródłem przyszłego szczęścia, z którego przez całe życie czerpać będziecie.

Uczucia miłości ku mnie, które tu wyraziliście, są mi znane, wierzę w szczerłość ich i trwałość, wiem, że nie sprzeniewierzycie się im ani teraz w ciągu studyów szkolnych, ani w przyszłym życiu. Nie możecie! Ho, gdybyście tak mogli, wyrócilibyście zaraz tę budę do góry nogami. (Śmiech). Ale zbyć się natury własnej nie możecie.

Młódzież każda jest z natury wdzięczna, serdeczna, wrażliwa, miłość odplaca miłością, sympatyę, sympatyą. A wy wiecie, smyki, że was kocham. (Śmiech). No i czego ci się tak świecą oczy, ty tam jelonku boży? (Śmiech). Chce ci się fiknąć koziołka? Nie można, kochanku! Gdyby tak wszystkim przyszło do głowy fiknąć, bo wszyscy chcą, toby cyrk był, nie szkoła. Czekaaj, aż pójdziemy do lasu, tam użyjemy do woli na koziołkach.

Nie kryję się ze swem uczuciem, okazuję je czynami. Ale myli się tamten, o, mniemając, że go

lubię za czuprynę ufryzowaną i rozczesaną po gogowsku na środku głowy ; myli się i ten, o, że za jego spodnie w klosz (śmiech); i jeszcze tamten myli się, że za spażnianie się do szkoły i strojenie w bluzę z brzeżkiem amarantowym, z pod której wygląda gorset, no, mówię wam, prawdziwy gorset! (huczny śmiech). A ty tam może myślisz, że cię lubię za twoje »rycie« ? Ilem razy był w klasie na różnych godzinach, zawsze »zrył«. Czekaj, jutro będę na łacinie... Ciekawym, czy »zryjesz«

— Oj, to już na łacinie piąty raz w tem półroczu...

— Lubię was za serca gorące, za wasze : »Hej ramię do ramienia, Dalej z posad bryło świata!« trum, brum! i t. d. (Śmiech), za wasz zapalczywy poryw do ideałów, za to, że brzydziecie się ślimaczem pełzaniem po bagnach egoizmu, za wasze młodzieńcze siły żywotne, twarze czerstwe, szczere i promienne, postawy dziarskie i zamaszyste, myśli swobodne, świeże i lotne.

Lecz otwarcie mówię, że nie cierpię waszej bufonady, blagi i gogostwa, waszej zarozumiałości i próżności, a już wstręt mam i obrzydzenie do gnuśności u was, niezdarstwa, niedołęstwa, mazgajstwa, zblazowania, lizunostwa i bezmyślnego kujoństwa.

Wiem dobrze, że się wam wogóle uczyć nie chce (śmiech), że chodzenie do szkoły uważacie za nieprzyjemność (śmiech) i sekaturę. Za to najchętniej kopalibyście sobie w piłkę nożną. (Śmiech).

Rzecz jednak dziwna i nie do uwierzenia, że drzemie na dnie waszych dusz poważne poczucie obowiązku. Może na poły świadomie zdajecie sobie sprawę, że jeżeli się coś ma robić, to należy robić dokładnie i starannie; że nie popchniecie na nowe tory ani świata, ani ojczyzny krzykami, niezgodą, kokardkami, figlami, gadulstwem, próżną utratą czasu, — lecz sumienną i poważną pracą. Toteż nie kochalibyście mnie, gdybyście mieli przekonanie, że jestem tylko na to, aby wam we wszystkim dogadzać i pobłażać, a nadewszystko ogłaszać dni wolne od nauki szkolnej (śmiech). Nie kocha się poważnie tego, kogo się nie szanuje. Kochacie mnie tedy, bo szanujecie za to, że was tego gniotę do sumiennego spełniania obowiązków, bo czujecie, że gdy gniotę i gryzę, — to sercem, żadnem waszego dobra. Tak samo szanować i kochać winniście wszystkich waszych profesorów.

— Dlaczego ich tu dziś niema? — mruknął któryś z malkontentów.

Są tu jednak i tacy, którzy myślą, że profesor jest od tego, aby sekował i palił, a dyrektor od tego, aby ucznia bronił, a uczeń od tego, aby sobie z dyrektora, nauczycieli i całej szkoły kpił w najlepsze, ćmił papierosy po klozetach (śmiech), wykręcał się od nauki sianem i otrzymywał przy końcu studyów patent na dojrzałego. Takich już nauczy nie szkoła, lecz życie — i to zazwyczaj poniewczasie. Na to rady niema. W ziarnie kostrzewa! Szkoda tylko ziarna zdrowego, które

śniedzieje. I te zdrowe, często bardzo cenne, ziarna usiłuję ratować od śniedzi, gdzie i jak mogę.

Wreszcie jeszcze jedno. Ubolewam, że nawet dzisiejsza uroczystość nie obeszła się bez naruszenia przepisów szkolnych, które zabraniają urządzania składek bez zezwolenia dyrektora. Właściwie wypadałoby za to wykroczenie zamknąć was wszystkich, jak tu jesteście, na dwie godziny kozy. Ponieważ jednak przepisy szkolne mają nieco inny charakter, niż państwowy kodeks karny; ponieważ urządziliście tę składkę na biednych; ponieważ szlachetnie pragnęliście mi okazać przez to swą miłość: — przestrzegam was na przyszłość przed przekraczaniem obowiązujących przepisów i wyjątkowo nie zamknę do kozy, lecz wam najserdeczniej i z samej głębi serca podziękuję.

Bądźcie zawsze miłosierni i szczodrobliwi dla biednych, bo to przykazanie miłosierdza jest wyższe nawet od przepisów karności szkolnej!

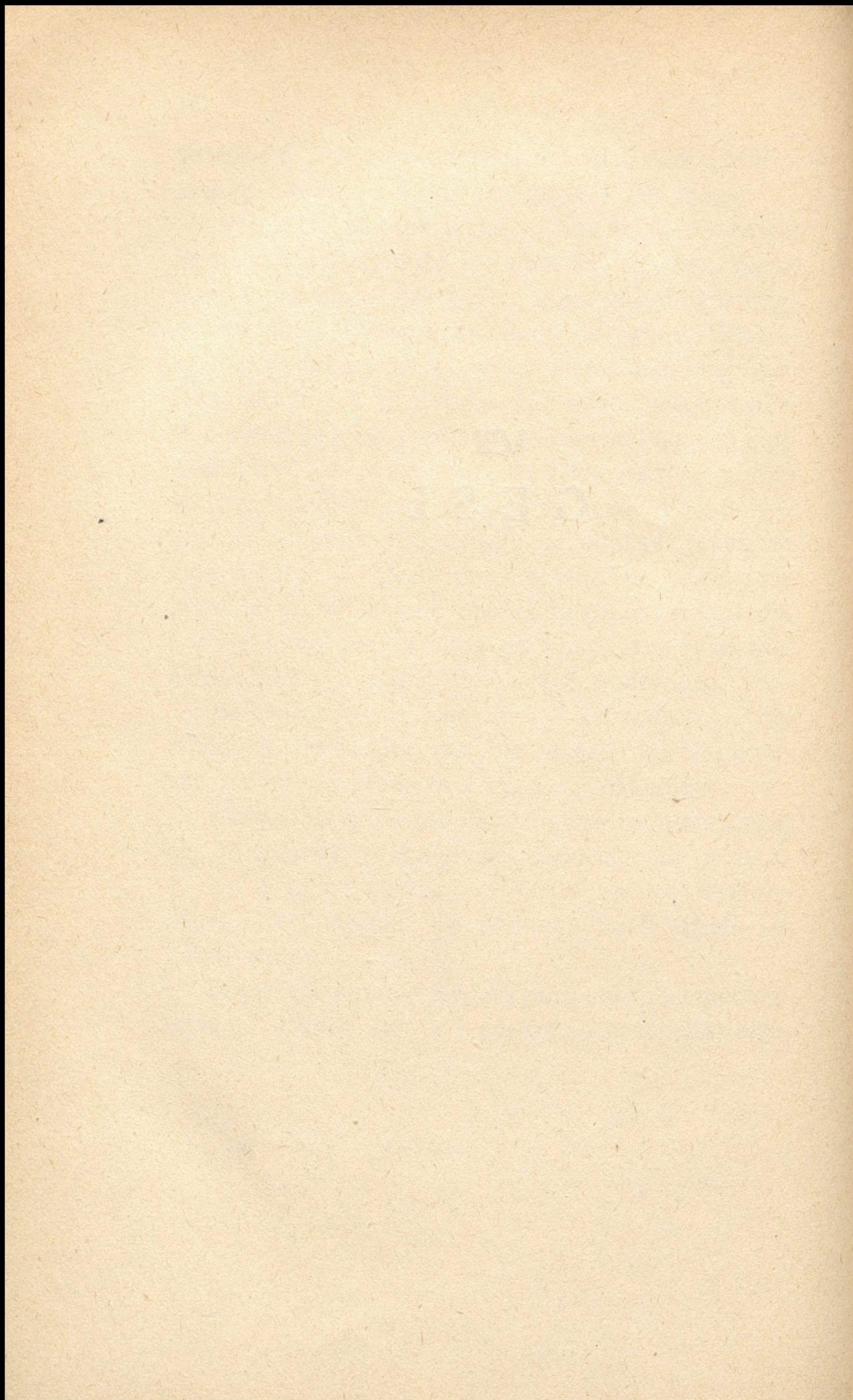
(Nagły ruch w sali; uczniowie hurmem cisną się do mowcy, pragnąc go podnieść do góry...)

— A to co nowego? Rozejść mi się natychmiast i w porządku do domów. Dziś dzień od nauki wolny.

(Uczniowie nagle jednym porwani natchnieniem wołają: »Niech żyje!« i spokojnie rozchodzą się).

VIII.

G E S I.



Plakaty obwieszczały zgromadzenie rodziców, nauczycieli i opiekunów celem naradzenia się nad »niedolą« młodzieży szkolnej. Program: 1-e Krytyka przepisów karności i t. zw. »wypędzania«; 2-e Reforma Rady szkolnej krajowej; 3-e Reforma systemu szkolnego w duchu unarodowienia; 4-e Sprawa uświadamiania; 5-e Szkoła i spowiedź; 6-e Hańba!

Sala przepelniona młodzieżą różnej płci; tu i ówdzie wstydliwie kryją się nauczyciele, ojcowie i matki rodzin. W roli przewodniczącej zasiada jakaś starsza dama, wybrana przez aklamację, zapewne ofiara dobroduszości i dobrej wiary. »Pan X. ma głos«, odzywa się nieśmiało. Śród burzy oklasków wychodzi na estradę młody, może 16-letni chłopak, kokieteryjnie uśmiechając się i kłaniając na wszystkie strony, jak aktor. Powne oklaski. On staje w pozie pełnej wdzięku, głowę podnosi, jak natchniony Konrad, do góry, pierś i jedną nogę podaje naprzód, poprawiwszy bujnie na ramiona spadające i ufryzowane loki, rękę wsuwa w rąbek surduta na piersi i przemawia:

— Mam zaszczyt przedstawić się szanownym

paniom. Byłem rok temu uczniem c. k. gimnazyum; teraz jestem, jak wyrażają się wysokie władze szkolne — wypędzony.

Młode damy wyrażają swój zachwyt strzelistemi spojrzeniami, wymowną mimiką i salwami oklasków. Mowca z dumą bohatera mówi dalej:

— Za co, zamilczę. (oklaski). Każdy sam jest sędzią własnej winy; nie jest winny, jeżeli we własnym sumieniu nie poczuwa się do winy! (Ogłuszające oklaski.) Nikt nie ma prawa sądzić swego bliźniego i ludzkie winy są osobistą sprawą ludzi, sprawą między nami samymi, a naturą. (Brawa.) Jeżeli kto, to przedewszystkiem ci wiedzieć o tem powinni, którzy mają pretensyę do kształcenia młodzieży. (Brawa.) Ale nasze szkoły nie są narodowymi instytucjami edukacyjnymi, tylko c. k. ekspozyturami austriackiej policyi i prokuratoryi. (Burza oklasków.) A nasza rada szkolna krajowa nie jest radą narodową mężów z obywatelskiego wyboru, lecz c. k. magistraturą mamutów, przez rząd zamianowanych »do wypędzania« uczniów. (Oklaski.) Przepisy t. zw. karności, narzucone szkołom przez tę biurokratyczną, czarno-żółtą magistraturę, są zabytkiem przedpotopowym, zmierzającym w sposób wyrafinowany do tego, aby zabić w młodzieży wszelki indywidualizm, zniwelować ją sposobem koszarowym, przyzwyczaić do potulnego uginania karku pod jarzmo niewolniczego serwilizmu. (Burzliwe oklaski i brawa). Ponieważ wszyscy obywatele równi są wobec prawa,

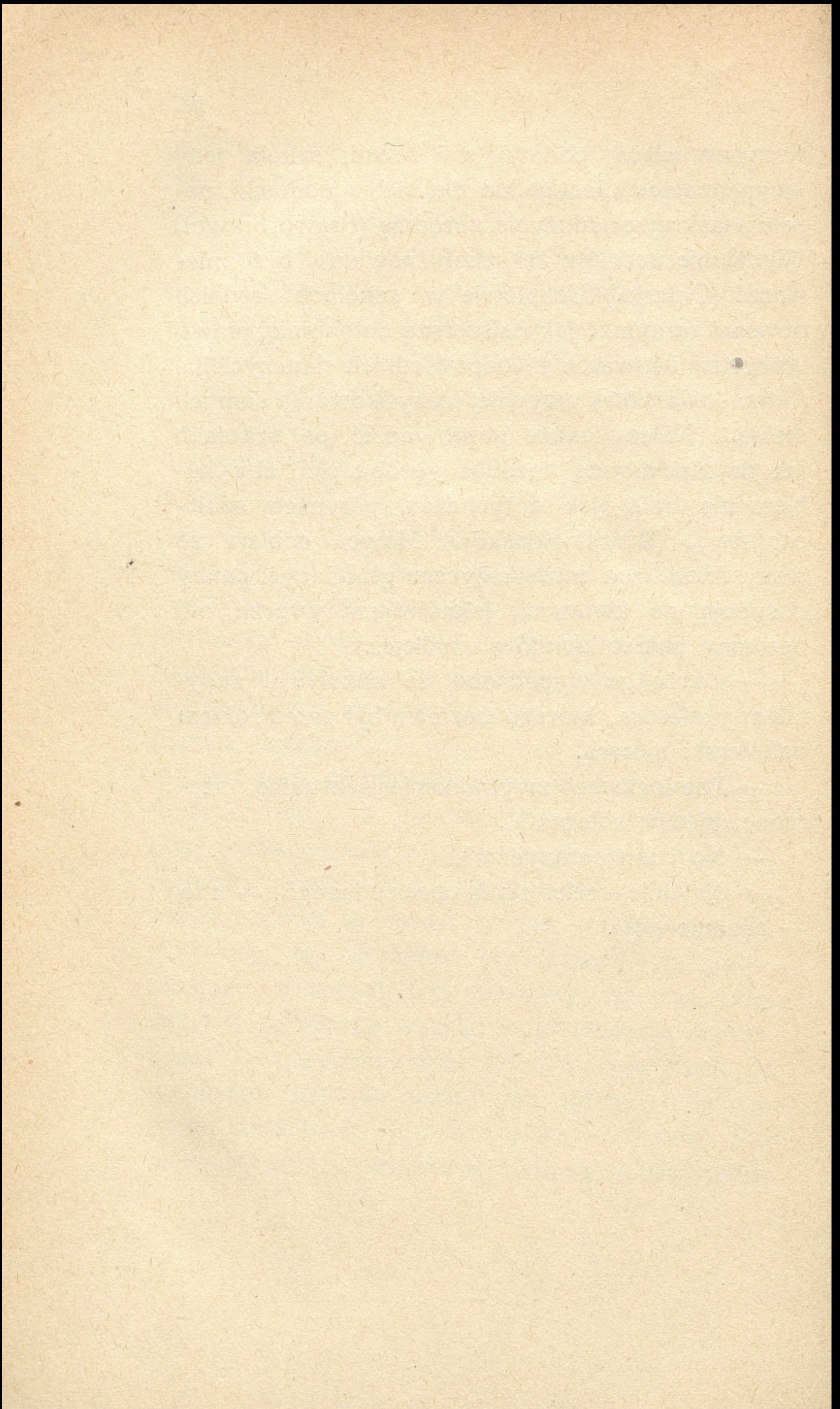
wszyscy płacą podatki na równi, szkoła tedy »wypędzając« niedogodne dla siebie jednostki, spełnia jaskrawe nadużycie, zbrodnię. (Brawo, brawo!) Wydalanie uczniów ze szkoły powinno być zniesione! (Oklaski.) Uczniowie w szkołach średnich powinni otrzymać jak najszerszą autonomię, prawo wyboru i usuwania nieodpowiednich nauczycieli... (burza oklasków) przywilej klasyfikowania samych siebie... Należy także zaprowadzić po szkołach jak najzupełniejszą koedukację obu płci, aby kobieta nie była, jak dotychczas, paryasem społeczeństwa. (Burza oklasków. Mowca odbiera ze wszystkich stron entuzyastyczne gratulacje, panny obsypują go kwiatami, jakaś dama wręcza mu ogromny bukiet kwiatów i mdleje...)

— Za co go wypędzono ze szkoły? — zapytałem profesora, którego uczniem był przed rokiem bohaterski mowca.

— Patologiczne zwyrodnienie seksualne, szerzone między kolegami...

— No i ten entuzyazm?...

— Na dzień—cele, zgoła obce pedagogii; — a to — gęganie gęsi.



IX.

Z PAMIĘTNIKA  
ABITURYENTA.

LIBRARY  
OF THE  
MUSEUM OF  
ART AND HISTORY  
OF THE  
CITY OF  
NEW YORK

*Dnia 18 marca.*

Nadchodzą święta. Mamuty gromadnie przystępują do konfesyonałów; w domu poszczą; wszystko na pokaz i dla bogobojnego przykładu; za to w klubie, przy kartach dogodzą sobie soczystymi befsztykami. Mamusie w rozpasaniu mieszczańskich skłonności piekielny szerzą zamęt przy mazurkach i domowych porządkach, by w wielki piątek mieć spokojną głowę do plotkowania przy bożych grobach, a w niedzielę uczcić zmartwychwstanie pańskie tuczeniem darmozjadów.

I ja dawniej spowiadałem się w kościele; teraz sam z sobą wolę dokonać bilansu życia, spowiedzi tego, co burzuje nazywają »duszą nieśmiertelną«...

A właściwie po co? Pytanie bez celu i bez sensu... Bo też nigdzie i w niczem żadnego ogólniejszego celu i sensu nie było, niema i nie będzie. Cel oczywisty ma tylko wilk głodny, gdy dusi jagnię. Toć i ja głodny i ja dusić muszę... dusić... choćby samego siebie... Sprawia mi to jakieś mdłe, szydercze zadowolenie... Zresztą muszę...

He, he! W tem właśnie ultima ratio...

W osiemnastym roku życia jestem już żyjący trup! To fakt!... W sobie czuję cuchnącą zgniliznę, a na sobie brzemień starości, od którego szpik wysycha w pacierzowym stosie, krew wyrodnije, nerwy brzęczą rozstrojem, serce nerwicą drżące ociężale żmie się, a nogi powłóczą.

O ileż młodszy odemnie pomimo swych lat sześćdziesięciu mój papa! Z podziwem nieraz patrzę, jak szeroko, wesoło, na całe gardło śmiać się on umie, jak serdecznie potrafi się zabawić w byle co, chociażby w ciuciubabkę...

Ja dawno już śmiać się tak przestałem; mnie dawno już nic zgoła nie bawi, nie nęci; ja wychyliłem już do dna wszystkie wrzekome nektary życia!...

Papa mój — co innego! Papa — to okaz z innego świata! wychował się po szlachecku w wielkim rodzinnym majątku na wsi, strzelając kaczki i wilki, zajeżdżając ogiery, urządzając zapustne szlichtady. Szkół podobno nie skończył żadnych; za to w powstaniu zdobył order, stracił majątek, z sybirskich robót umknął i pieszo przywędrował z nad Leny do Krakowa. Tu wybił się na czoło, jest sobie prezydentem i posłem, ożenił się bogato, wierzy, kocha, cieszy się i zdrów...

A ja jestem neurastenikiem i psychopata. Od małego dziecka włóczyłem się z matką, bonami i pokojówkami po Paryżach, rywierach, Ostendach. Wsi nie znam.

Za to trzykrotnie odbierałem pasowania kawa-

lerskie... Wiedzą o tem koledzy moi i patrzą na mnie z respektem — głupcy; w ich mniemaniu złożyłem przez to świetne dowody dojrzałości, zwłaszcza, że się nie żenowałem specjalisty lekarza; oniby prędzej szukali znachorów lub anon-sów!...

Ach, estetyczne to nie jest; za to, jak śmierć, prawdziwe!...

I nie krwi war zawrotny, nie sił nadmiar kipi-  
piątkiem wrzących, co rozwagę gasi, a namiętno-  
ścią żądzę i szalu odurza, jak bywało u naszych  
pradziadów, rycerzy, w dosycie mięsa, wina i wy-  
wczasu po rozhukaniu mięśni w ciężkich potrze-  
bach wojennych: — nie war krwi, nie tężyzna  
mięśni wiodła mnie w te przepastne odmęty, —  
ale skryta, oślimaczała, zimna wyobraźnia, lubież-  
nym obrazem denerwowania się nęcąca...

He, he! Siedzi się w skulonej postawie w ławce  
szkolnej pięć godzin dziennie, 150 godzin na mie-  
siąc, drażniąc mózg zmudnem i wyszukanem cwi-  
czeniem refleksyi; siedziało się tak i gniło w ciągu  
lat ośmiu przez 12,000 godzin... A w domu siedź  
znowu nad przygotowaniem lekcyi, nad zadania-  
mi, nad francuskim i angielskim, bo to potrzebne,  
bo modne...

Więc pewne patologiczne — powiadają — prze-  
krwienia, pewna nerwicowa łechtliwość... czy ja  
zresztą wiem?...

Dość, że nocną porą, po tłustych i korzennych  
potrawach, gdy papa w klubie, a mama na raucie,

z pod opieki bon, kamerdynera i domowego instruktora...

Musimy być, jakimi nas tworzy suma rozlicznych życia wpływów. Wina — jest bają dusz zabobonnych, o ile nie zahaczy o kodeks karny; indywidualna wola jest optycznym złudzeniem mózgu, a odpowiedzialności — prócz ludzkiej — nie masz żadnej; ludzka zaś ma wartość czynnika odstraszającego, który sumę wpływów, psychiczny przymus stanowiących, mniej lub więcej pomnaża.

Każdy robi, co musi, łudząc się, że ma wolną wolę. I ja musiałem...

Czuję całą bezsilną niemoc własną... Jestem rozumny, wyrafinowany, pełen różnego towaru wiedzy, bystry, ale zimny, jak wąż, i wykrętny... Nigdy się nie uniosę zapalem, porywczością, gniewem... Nie znam żadnych złudzeń. Ale też nie zdobyłbym się na żaden czyn energiczniejszy, na żadne hartowniejsze zaparcie się samego siebie i własnych skłonności. Ba, nawet to jest kruche we mnie, znikomo kruche, co ludzie zowią honorem i przekonaniem...

Rozlewny jestem, zmienny i wiotki, jak elektryczny fluid... Nic z granitu....

Samokrytycyzm bujny mam i jak sieć delikatna, czułeków subtelnych pełna, rozwinięty; a nie tylko samego siebie umiem analizować i krytykować do najskrytszych głębin instynktu, nałogów, pożądań i uczuć, ale także żadna śmieszność, żadna przywara innych nie ujdzie czujnego mego oka.

I do tego ta melancholia, bezpłodna i bezsilna w swym beznadziejnym smutku, płynąca z pesymistycznego przekonania o przymusie bezcelowego bytu...

Jakież to wszystko głupie, jakie marne!

*Dnia 19 marca.*

Bolek paradny! Bolek doprawdy zasługuje na uwagę! Odsiedział on także na wspólnej ze mną ławie szkolnej owych 12,000 godzin w ciągłych ćwiczeniach pamięci, refleksyi i rozumowania, a jednak — rzecz dziwna i niepojęta — zdołał bez skazy przechować dotychczas mirtowy swój wieńiec niewinności wraz z brzoskwiniowym meszkiem na rumianej buzi, z gęstą na głowie czupryną, zresztą z żołądkiem zdrowym i odpornością nerwów.

Co za wspaniała rękojmia rozkoszy dla przyszłej małżonki, czcigodnej mamy liczego i zdrowego potomstwa!

Ba! Nie można go nazwać nawet tępym, schłopiałym, flegmatycznym kaszojadem! Gruntownością wiedzy często w klasie przewyższa mnie, męczy się pracą umysłową znacznie mniej odemnie, posiada dar wytrwalszego skupiania uwagi i zatrzymywania jej przez czas dłuższy w stałym napięciu; logiczniej i spokojniej umie kojarzyć wyobrażenia; jest upartszy odemnie i konsekwentniejszy. Za to zapędzę go zawsze w kozi róg, gdy chodzi o okazanie krytycznej znajomości życia,

albo o bystre, lotne, jak błyskawica, śmiałe wyszukiwanie analogii i tworzenie nowych syntez.

Natury nasze biegunowo przeciwne. On ma coś w sobie z białego, dobrego Boga, ja — z Lucyfera. On rozsądkiem i uczuciem żyje, — ja nerwami, zresztą ostrym rozumem i wyobraźnią; on cierpliwie i pokornie ciągnie niewolnicze jarzmo obowiązkowej moralności, — ja gryzę je i zrywam; on walczy zapalem lub logiką, — ja dowcipem, szyderstwem, ironią; on wierzy lub ludzi się wiarą i projektami budowania, — ja wątpię i burzę; on jest szczęśliwy, — ja pluję na nicość wszystkiego; on pragnie być cichym i pożytecznym, — ja chcę zabłysnąć, jak meteor, nie ukrywam dumy i wielbię pychę; jego pierwowzorem ukochany Adam, ja jestem samym sobą, a chętniej czytam Byrona lub autora Lambra. On jest zwykłym, porządnym człowiekiem, — ja nadczłowiekiem..

To ważne, że on zachował zdrowie, ja je zmarnowałem; on sypia po nocach, jak niemowlę, — po mojej wyobraźni bezsennością lub półsnem rozstrojonej harcują miryadami jakieś gady, a z uporczywą symfonią nerwicowych dreszczów już dawno się pokumałem.

Zastanawiało mnie nieraz pytanie, jakie czynniki złożyły się na zakonserwowanie jego zdrowia. Odpowiadał mi po swojemu: »Mój drogi, najpierw zdrowie trzeba szanować, powtóre mięśnie trzeba ćwiczyć«. U niego myśli zwykle wyrażają się w formie dekalogu... — »Cóż po trzecie i po

czwarte trzeba?» — pytałem. — »Po trzecie nie tylko materialne, ale także i duchowe narkotyki rujną siłę żywotną; trzeba tedy unikać zarówno morfiny, alkoholu, opiatu, teiny, kofeiny, nikotyny, jak samogwałtów wyobraźni, krytycyzmu, marzycielskich i lubieżnych wyuzdań, w jakiegokolwiek one formie do duszy wsiąkają. Trzeba rozwijać szlachetne, pogodne uczucia, stać na straży kapitału życia i szafować nim ekonomicznie. Trzeba szukać duchowego spokoju, fizycznej pracy, powietrza, słońca, wody. Trzeba«... »Przestań« — zawołałem, — »bo mi uszy więdną! Nigdy się nie zrozumimy! Twoje rozumowania są skrępowane powijakami szkolnego imperatywu, ja zaś nakazów własnych i ludzkich nie znam, tylko psychiczny przymus.«

— Ach, jesteś wolnomyślnym wyznawcą duchowej niewoli!

— Żadnym zgoła wyznawcą nie jestem, czynię, co muszę, i stwierdzam nagą rzeczywistość.

— Stwierdź więc i tę rzeczywistość, że przedwcześnie roztrwożyłeś fizyczne i duchowe zasoby zdrowia przez narkotyzowanie się, wchłaniając trucizny, dla rozkwitu młodego ducha i ciała zabójcze. Wybujala słoma, a ziarno zanikło.

— Rezultat — odparłem — jednako będzie marny u nas obu.

A jednak jego uwaga o narkotykach?... Prawda!... On żył mlekiem, wsią, razowym chlebem, ojcu zwoził snojy i kopał ziemniaki, w mieście

gonił z lekcyi na lekcyę, w chwilach wolnych pracował w warsztacie lub na błoniach z kolegami ćwiczył niewinnego palanta. Dotąd ani razu nie był w kabarecie, nie zna kawiarni ani ponęt nocnego życia, likierów, koniaku, szampana, czarnej kawy, tytoniu, nie tknął.

Mnie już w dzieciństwie bony bezpłatnie wtajemniczyły w pewne sekretne misterya życia... Mamie od dawna towarzyszyłem na balety, wyścigi, cyrki, kabarety, regaty, festyny. Wcześniej także zdobyłem w rodzinie sławę smakosza... I przez dziurkę od klucza dojrzałem niejednej tajemnicy... Poznałem tajniki wytwornych toalet i nasłuchiwałem się na rautach koncertowej gry eleganckiego flirtu...

W takiej atmosferze dojrzewa się przedwcześnie... może w słomę...

Nie zazdroszczę Bolkowi. Zaciekawia mnie jednak jako osobnik, obserwacyi godny; jego prostolinijne, a tak mało subtelne szlaki myślowe i uczuciowe po prostu rozbrajają; bezgraniczny jego optymizm, oczywisty objaw nieznamomości życia, rozśmiesza; a najkomiczniejsze doprawdy te dobroduszne jego usiłowania, aby mnie nawrócić i wydobyć z topieli...

— Stachu, Stachu! — peroruje w natchnieniu. — Jak można opluwać wszystko, co ludziom jest święte, jadem niewiary i cynizmu? Czyż doprawdy nie czcisz ani Boga, ani ojczyzny, ani wiedzy, ani piękna? Czyż w postęp i użyteczność pracy

nie wierzysz? Czyż tak mało cenisz siebie samego, że się możesz tak obojętnie znieprawić?

— Bolku, Bolku luby, — odpowiadam — moralizujesz, jak wujaszek mój, katedralny kanonik na ambonie... tylko z tą różnicą, że ty moralizujesz na seryo, a on ze swych morałów sam się śmieje przy szampanie proszonego obiadu. Odpowiem ci w patetycznym tonie proroczej wizyi...

Oto dziesięć lat wybiło od dziś na zegarze życia. Syt rozkoszy — siedzę w separacie na dobrze zasłużonej emeryturze w domu obłąkanych. A błogo mi tam resztki żywota upłyną w dziecięcym rozmiękczeniu mózgu i bez udręki świadomości. — I oto nowych lat trzydzieści wybiło na zegarze życia. Syt referatów i awansów, siedzisz w małomiasteczkowym kasynie przy taroku i nagle czujesz zawrót głowy. Wypiłeś, bratku, o jedną bombę piwa za dużo — apopleksyjka. Jazda do domu, gdzie wdowa z córkami biegle obliczą wysokość należnej im gaży pensyjnej.

Widzisz tedy, że nasze losy co najmniej równoważne.

— Ważność losów mierzyć trzeba miarą pożytku dla dobra bliźnich.

— Dziecino droga, powtarzasz komunał nieboszczki babki mojej, zmarłej z gromnicą w ręku po uroczystym obrzędzie namaszczenia. Ach, ufundowała ona jakąś tam ochronkę i za życia była już za to nabalsamowana. Tylko większą część

fundacyi rozkradziono i teraz dziatwę głodzi się i poniewiera.

— Z tego wniosek, że nie t r z e b a fundować ochronek?

— Wniosek taki, że pojęcie pożytku jest względne, złudne i wątpliwe. Ba, wniosek jeszcze, że wszystko jest złudzeniem, nawet świat cały widomy i życie, nawet wiedza, piękno i cnota. Wszystko istnieje tylko w naszym niezdarnem wyobrażeniu, nic w rzeczywistości..

— Wniosek dogodny dla różnego rodzaju szubrawców.

— Prawdziwy. Co zaś do szubrawców, nie trap się. Konieczność życia, głód, ultima ratio.

— Jednak własną śmierć wyobrażasz sobie w zakładzie dobroczynnym, gdzie masz w chorobie korzystać z opieki i pomocy lekarskiej; mnie zaś w każdym razie przyznałeś tyle, że będę mógł nie tylko zapracować na wyżywienie siebie i rodziny, lecz także po śmierci skromny byt rodzinie zabezpieczyć... Więc?...

— Więc zrozum wreszcie, że nie będzie to ani twoją zasługą żadną, ani moją winą, bo nie wyniknie z naszej woli. Każdy człowiek jest jak kamień, toczący się ze skały na dół. Potoczyć się musi w tę stronę, gdzie go poniesie siła rozpędu i natura pochyłości. Kamień ani ową siłą, ani naturą stocza nie włada.

*Dnia 20 marca.*

Tak, staczam się w ciemne konieczności kresy i świeci mi nudna, mdła, jak na elizejskich błoniach rozpostarta samowiedza bierności, która ani nie ziębi, ani nie grzeje, tylko szydyczym dusi dławcem, nie pozwalając nawet napawać się zawrotnością spadu, ani drzeć przed obrazami miażdżenia po drodze mogilnianych zwałów.

Z nudem i obojętnością muszę patrzeć na steki obłudy, zabobonów i kłamstw, na sabaty czarownic, upiorne tany kościotrupów, chichoty obłąkanych...

He, he! Prajazda nagiej duszy, w żywostoki bytu potrąconej!... Już dość tego, dość! Byle prędzaj i huczniej w nirwany spoczynek!...

Dość już wszystkiego! Upojenie dziecka pękło, jak bańka. Po niem oślizły strzęp mydlanej cieczy. Bogini cnota na dysekcyjnym stole krytycyzmu odsłania same tylko wrzody sobkostwa. Kuglarka wiedza bawi stare dzieci marnem piasku przesypywaniem i liczeniem. Bóg? Zapewne jest w niebie i był ongiś na ziemi, lecz Go ukrzyżowano, oplwano, wygnano, a teraz obraz i pamięć Jego tak omroczone kadzidlany dymem i brokatami ornatów, tak przeniecowano kazuistyką i kompromisami, że nowego chyba potopu trzeba i nowego odkupienia, aby promień Jego mroki serc rozświecił.

Zwyciężył potężny i mądry Wróg, od wschodu słońca na zachód niepodzielnie włada. Przed sza-

farzem złota, żelaza i cielesnej rozkoszy czołem wszyscy biją, wstydliwie zasłaniając się płaszczem białego Boga...

I ci szczęśliwi, jak Bolek; on będzie się co niedzieli modlił na książeczce do nabożeństwa, przeplatając modlitwę rozmyślaniami o złotym kołnierzu z gwiazdami... Pogodził w sercu oba walczące bóstwa i bez obawy rozbicia popłynął z prądem większości...

Porządny i cnotliwy obywatel...

Może ukochać piękno słońca, dźwięku, harmonijnej linii, zakłętej w spiżu lub marmurze? Tak, pewno, czarowny to sen greckiego ducha! Szkoda, że nigdy nie ziści się w życiu, gdzie milion nędzarzów koszlawi sobie i bruka ciała i dusze w ohydnej walce o kęs chleba i nocne logowisko. Sen Nababów, pod stopami paryasa gniotących. Sen tryumfującego Lucyfera!...

A więc zapłonąć świętym ogniem narodowego znicza: biały orzeł, słuckie pasy, od morza do morza, Chrystus narodów! Oto hasła, które porywały ongiś rzesze wierzących i silnych na barykady, do katorg, na szubienice!

Niestety, od dzieciństwa uczymy się krytykować nasze dzieje, patrzeć na nie zimnym okiem starców. A terażniejszość? Nam młodym każą rodzice i nauczyciele być dyplomatami, rozumnie i mądrze ważyć porywy uczuć na szalach możliwości, z klęsk i zawodów czerpać zasadę rezygnacyi i spokojnie, roztropnie, praktycznie, lojal-

nie, niezawodnie... pracować na lepszą przyszłość... Jak? Gdzie? — No jakże: po zaprzysiężonych na cudze ewangelie biurach, po fabrykach margaryny i browarach, po ławach szkolnych nad obcym katechizmem i językiem wykładowym, zresztą na niwach wolnej sztuki, byle trzeźwo i rozsądnie, bez wybuchów robaczywego uczucia...

Dobrze, dobrze, praktyczni nasi rodzice i nauczyciele, będziemy pracowali podług waszej recepty, lecz praca ta musi być martwa, bo w niej nie będzie młodej duszy, bo nie będzie modlitwą.

Zresztą, co prawda, niemniej obrzydliwa i wstrętna ta ohyda pełnej gęby frazesów i hasła, waporów zamroczonego namiętnościami mózgu; ohyda patryotycznej tromtadracyi, puszającej się butną miną i długim językiem, z zajęczem sercem i drapieżnymi rękami, z morza łez i krwi wyławiającymi tłuste synekury; ohyda skarg małodusznych ofiary, zdobiącej się w cierniową koronę i żebrzącej od ludzi i Boga cudownego wyniesienia na piedestały świata...

Że ją tam osmaga kozak nahajką, a raubritter odeszle do Monaco!...

Nikogo nie obwiniam. Jesteśmy, jakimi być musimy.

I ja taki sam... ja... chore pod jabłonią jabłko...

A jednak, jednak... piękny był, czarowny był i plenny był, plenny ongiś był bezkrytycznej wiary, w kolebce życia i w zaraniu dziejów...

*Dnia 21 marca.*

— Nie pal, durniu, papierosów — woła papa, wypuszczając kłęby aromatycznego dymu.

— Bądź skromny i cnotliwy — moralizuje rozwódka ciocia, pudrując sobie twarz przed gotownią i brwi zaczerniając; zdejmuje potem penioar, odsłania lśniący żywą karnacją biust i toczony ramiona, rozkazuje pannie pokojowej rozpiąć i schować szczelnie pod gorset koszulę, aby dekoltu koronkowej bluzy nie zasłaniała... — No i co tak patrzysz, smarkaczu — dodaje; — bądź skromny i cnotliwy; nic tak młodzieńca w twoim wieku nie zdoła, jak skromność i cnota!

— Bądź pracowity i oszczędny — uczy mama, leżąc w jedwabnym szlafroku na otomanie i pogryzując cukierki: po czym, uwiadomiona o przyśłaniu z magazynu pudeł, odkłada na bok »Dzieje grzechu«, przymierza i kupuje olbrzymi, z brylantową klamrą, kapelusz za 500 koron.

— Bez ideałów, kochanku, bez ideałów to na nic, nie dasz nikomu w życiu szlema — bałaguli stryj po sutym obiedzie, mając żołądek po gardło napelniony majonezem, pulardą, truflami i popijając czarną kawę z benedyktyńskim likierem... — To na nic! Ho, ho, ideały, bratku, przedewszystkiem!... Młodzież bez ideałów, jak nadzienie indyka bez trufla. Ja, w twoim wieku, panie dobrodzieju, ho, ho, płonęło się zniczem... tego... jak pochodnia! I poeta któryś tam powiedział: Nieś przed narodem... kaganiec... tego... jak kamień, rzucony

w ideałów szaniec!... A co? Pamiętam jeszcze. I poszedł zadowolony z siebie do klubu na partijkę ferbelka.

— Nie zabijaj — odmawia po milion razy z dekalogu pop na ambonie, który nazajutrz pobłogosławi ikoną jawnych zabójców...

— Ewangelię miłości bliźniego dziś wyłoży namaszczonego wyznawca bojaźni bożej, jutro zaś podpisze ustawę, wywłaszczającą własnych poddanych, a pojutrze żołdakom za wzór postawi okrucieństwa Attyli.

— Redaktor wysoko niesie sztandar patryotyzmu w narodowych pochodach, na pogrzebach, wiecach i zgromadzeniach przedwyborczych... Kroniki zaś dziennika swego zapełnia nagłówkami: Trup w koszu, handlarze żywym mięsem, potrójne zgwałcenie, proces o kazirodztwo, Janko rozpruwacz, mord rytualny, płód o dwóch głowach, trucicielka, nowoczesna Barbara Ubryk, samobójstwo pięcioletniego dziecka...

— Starożakonny czciciel Jahwy w śmiertelnej koszuli, kiwając brodą, modli się, jęczy, zawodzi psalmy przez pięć sabatowych godzin: za to pofolguje sobie w niedzielę następczeniem do lupanarów sześciu sztuk żywego mięsa, sprzedaniem do rąk uczniów tuzina pornograficznych romanów i dwóch tuzinów fotografowanej rozpusty.

Niech goje giną! Bóg nakazał miłować bliźniego, jak siebie samego. Ale co to znaczy? Co to znaczy? Co to jest ja sam? Ja sam — to moja

głowa, moja ręka, mój wrzód, mój ząb bolący! A jak ja mam samego siebie miłować? Ja mam samego siebie tak miłować, aby mój wrzód rozciąć i mój ząb bolący wyrwać. Ale goje — to mój wrzód i mój bolący ząb!... Niech goje giną!...

Oto logika dzisiejszej miłości bliźniego. Parawan moralnych zasad ku obłudnemu maskowaniu wilczych instynktów natury w krwawej o byt walce!

Dziwicie się naszemu cynizmowi! Ale czy ten nie bywa otwartą przyłbicą, zuchwałym protestem przeciwko zgniliznie obłudy i kłamstwa?

Czciecie Kościuszkę i bohaterów listopadowych, a płomień serc młodych zwiecie patryotyzmem robaczywym. Za to nierobaczywy patryotyzm serwilizmu dla zachowania ochłapów bytu pokornie plecy nadstawiający pod razy nahajek i ręce podnoszący do góry pod rewizyę policyanta!

Ach, a ci najukochańsi! Skryty szpieg-prowokator, podszywający się pod baranią skórę bandyty, giełdowy lichwiarz, miliardowy członek trustu, adwokat drący łyka z kmieci — najwrzaskliwiej zawodzą Czerwony sztandar. Ci sami w imię powszechnego braterstwa obwieszczają światu reformę, którzy brata przeciwko bratu szczują oszczerstwem, pożogami mściwości i nienawiści. Apostołowie tolerancyi tyranią gwałtu i pohańbienia zakuwają myśl wolną, a patryotycznych haseł używają do wytępienia patryotyzmu.

Gwałty tyrańskiego rządu zbrodnicze, ale zdra-

dziecki i rozpasany gwałt demagogów i bandytów wzniosły!

W rezultacie wszystko fałsz, prócz jednej prawdy: wilczego bezprawia.

Więc co? Więc co? Gdzie ostoja? Czem zapłonąć? W jakim kościele ofiarę złożyć? Dla jakiego końca krew życia przelać i trud poświęcić?

Przed jedną ohydą cała istota oburzeniem i wstrętem wstrząsa się — przed podłością obłudy, — a tu tego niezbrodzone morze!

Zostaje to, co zowiecie »cynizmem bezczelności«, co ja nazywam prainstynktem bytu, — upojenie zmysłów, dopóki nerwy przysyłają do mózgu piekielne zawroty rozkoszy, a mięśnie galaretą nie ochlapną...

Potem, niech nirwana omroczy nieświadomością!...

*Dnia 22 marca.*

Człowieku, perorował mi Bolek, czemu się nie schronisz do świątyni wielkiej poezji? Tam myśli oderwałbyś od trywialnej rzeczywistości, duszę wykąpałbyś walkami i cierpieniami wielkich duchów...

Poczciwy Bolek nie pojmuje, że ta świątynia wymaga białych szat kapłaństwa, uświęcenia uczuć i nastrojenia ducha w górne tony.

Ja tymczasem zacząłem od »Pani Bovary« Flauberta i nowel Dekameronu, które czytałem w klasie III na godzinach łaciny; połknąłem Zolę,

Balzaka i Maupassanta w klasie IV, w czasie wakacji, wykradając tom za tomem z biblioteki mamy. Miały mi potem smakować pedagogiczny nudziarz, Korzeniowski, dobroduszny pocziwina Chodźko, lub staruszek Kraszewski, skoro już nudził Tołstoj i mierzył psychologicznem babraniem Dostojewski? Szukałem tedy podniety szpiku pacierzowego w Paul de Kocku, zbrzydł mi rychło; więc denerwowałem się Sacher-Masochem, Gypem, Kryminalistami, zanim przyszło uświadomienie, że szelmy piszą dla złota, czerpanego z najplugawszych kanałów ludzkiego zwierza. W porywie dumy, by nie powiększać stada strzyżonych podłot, zresztą w śmiertelnem znudzeniu począłem spoglądać w mleczne drogi wielkich poetów.

Skoszlawiony profan, bez przewodnika i kompasu, znalazłem tam to tylko, co duszy mojej było dostępne. A więc mądrość Horacego w zasadzie: *nunc est bibendum*; mądrość Szekspira w pojęciu tragicznych cierpień ducha, borykającego się odwiecznie z namiętnościami i obłędem; piekielną trwożę Danta przed majakami własnej fantazyi; rezygnację egoistyczną Goetego, chroniącego się przed zupełną rozpaczą w świątynię starego Epikura i plutokratyczne dosyty estetyzmu; czarną i beznadziejną ewangelię cierpień Ibsena!

A nasi wieszczę?

Są rany, których lepiej nie dotykać... Zwłaszcza zaś żabie nie kopać lwa, konającego w rozpacz! A oni wszyscy, śmiertelną znużeni walką,

konali pokonani, spowiadając się, jak na prawowiernych katolików i kordyanowych rycerzy przystało... Święci, wielcy, męczeńscy, ale zrozpaczeni, smutni, beznadziejni...

Któregoż wreszcie z cudzych lub swoich podążać śladem?

*Nunc est bibendum!* Niech żyje Horacy! Albo?... Kto wie?... Jednak w Przybyszewskim, Niemojewskim, Żeromskim jest najlepszy sens wreszcie, jest logiczna konsekwencja, lubo — co prawda — trupem cuchnąca...

Da się to jedno z drugim wcale niegłupio połączyć: używać zawrotności upojeń aż do utraty świadomości w »rajskiej dziedzinie... nirwany«... he, he!... i cały świat puścić z dymem anarchii...

Niech wszystko wraz z nami porwą dyabli!...

Oto kultura moich uczuć!...

### *Dnia 23 marca*

Awantura, dzień sądny! Papa fuka, mama płacze, rodzina moralizuje, rozdzierając szaty ze zgorszenia...

Chcą mnie nawet posłać jakiemuś psychiatrze na obserwację...

Zdaje się, że przed samą maturą gruntownie mnie wysypią z gimnazjalnej budy...

A wszystko to z powodu spowiedzi! Gdym się

do niej nie zgłosił, wezwano mnie do wyjaśnień. Oświadczyłem dyrektorowi, że nie wierzę tak szczerze i gorąco, abym mógł spowiadać się bez kłamstwa; do obłudy zaś i kłamstwa mając wstręt nieprzezwyjęzyczny, czego sobie za żadną zresztą zasługę i chlubę nie poczytam, wolałem pójść za namową akademickiego związku wolnomyślnych i nie przystępować do spowiedzi.

Zażądano protokolarnego zeznania z podpisem, wezwano rodziców, sprawa ma pójść na konferencję...

Dyrektor pragnie mnie ratować, lecz bardzo wątpi, czy obejdzie się bez wylania...

*Dnia 24 marca.*

Jak mnie to nudzi i męczy wszystko! Te morały! Po nocach nie sypiam. Mózg mi się trzęsie, jak galareta, ręce i nogi drżą. Greckie aorysty tańczą czardasza z logarytmami, płaczą się i mięszają z sobą różne dynastye i bitwy, rysunki analityczne uporczywie występują w postaci stożków, a cytaty z biblii uzasadniają etyczne i dogmatyczne reguły za pomocą metrycznych schematów ód Horacego i chórów Sofoklesa. W półśnie bredzę sześcioma językami charakterystyki autorów i analizuję ich utwory dowodami wprost i ad absurdum, wszerz, wzdłuż i wpoprzek, rozwiązując najdziwaczniej powikłane zrównania i cytując setkami reguły gramatyczne. Śród heksame-

trów rośnie las reguł trygonometrycznych, przeplatany potencjałami, na górach scholastycznych syllogizmów, między kaskadami tytułów.

Och, jaki ja wykształcony i mądry... mądry!... To wykształcenie tak mnie obciąża, że głowa wiadomościami przepelniona pęka z bólu, ciało niedołączne zgina się do ziemi, a duch kołacze w przybytki obłądu...

A tu z O. Józefem T. J. na rozkaz rodziców odbywać muszę długie dysputy teologiczne, które ślizgają się po powierzchni mózgu, w głąb duszy i serca nie wnikając. Bo tak jestem zmęczony, że zgadzam się, zgadzam już na wszystko bez żadnych zastrzeżeń.

Zgadzam się także na spowiedź... Chce mi się płakać i spać... spać!...

*Dnia 30 marca.*

Spowiadałem się dziś. Może... Kto wie? Może świt nowego życia zakwitnie mi, świt wiary młodszej, nadziei żywej, wesołości zdrowej, odrodzenia energii steranej...

Powiadają, że mój upadek ducha wyszedł z utraconego źródła łaski i zdrowia przedwcześnie osłabionego. Może to prawda, może jeszcze odrodzę się do pracy fizycznej, do chleba razowego, do czynnej miłości bliźnich?...

Powiadają, że moja teoria o niewolnej woli jest z gruntu fałszywa, że można ćwiczeniem siłę

~~13586~~ 13586/17.  
 ramion wzmocnić, siłę woli zahartować, a uczucia  
 w barwny i wonny bukiet rozwinąć...

Powiadają, że pesymistyczny mój na świat  
 pogląd jest wierutnem i przesadnem głupstwem...,  
 że wraz ze zdrowiem, snem, apetytem, wróci mi  
 rozkosz życia, ambicya czynu, tężyzna woli i zdrowy  
 rozsądek...

O Boże mój, Boże, czy nie zapóźno!

Koniec seryi pierwszej.

A Nr 098788



C e n a

zł 36 gr —

DK - 28 d  
 1.54

Wzór Jednoraz. CWD, W-wa. 15973/K  
 2041 - Łak - 25.11.53 - 3000 bl. à 100 k.





13586